N. 52. WARSZAWA d. 18 (30) Grudnia 1871 ROKU.



I POWIEŚCI,

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: *w Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 50.— Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2. Numer pojedynczy kop. 15. —w Poznaniu prenumerować można w księgarni Leitgebera; w Krakowie za pośrednictwem ustanowionéj agencji, przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowéj. Przedpłata dla Galicji z przesyłką pocztową kwart. złr. 3 c. 52. w Krakowie złr. 3 c. 26. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy: Do J. K. Gregorowicza w Warszawie Ulica Żabia Nr. 956* (nowy 6) *dom narożny przy targu.*

LISTY

AUTORKI KRONIKI ZAGRANICZNÉJ

w Bibliotece Warszawskiéj.

(Dokończenie).

Za powrotem do Wiednia zabrał się do poważnéj pracy. W zbiorze poezji Niemeyera, znalazł poemat religijny o Łazarzu. Chowając rzecz w najgłębszéj tajemnicy, utworzył Oratorjum w trzech częściach: *Śmierć Łazarza, pogrzeb, wskrzeszenie.* Najbliżsi nawet przyjaciele nie domyślali się niczego. Sam poeta Niemeyer umarł w kilka lat potem nie wiedząc że poemat jego posłużył za treść do sławnego utworu. Dla czego taka tajemnica? nikt nie wie. Zdaje się że kompozytor nie ufał, aby otoczenie jego mogło zrozumieć i ocenić tę pracę.

Oratorjum zaginęło wśród papierów pozostałych po mistrzu. Odkryto je przeszło w trzydzieści lat po skonie Schuberta. Wykonane w r. 1863 w Wiedniu, obudziło zdumienie znawców. Dr. Kreiszle wysoko stawia ten utwór.

Aby tem lepiéj ukryć się z poważną pracą, Schubert równocześnie napisał dwie opery: *Bliźnięta* i *Harfę zaczarowaną.* Obie upadły po kilku przedstawieniach. Drugą z nich Schubert więcéj cenił nad inne swe utwory. Wiedeń nie umiał jéj ocenić.

Rok 1821 był dla artysty epoką pierwszego tryumfu. Dwudziesto-czteroletni mistrz występuje wreszcie na widownię. Pieśni jego śpiewane przez Vogla na koncertach, wywołują poklask powszechny. Wydawcy ubiegają się o nie. Dzienniki Wiedeńskie wysławiają *króla Olch, Wanderera, Gretchen przy kołowrotku.* Rzecz jednak dziwna napozór, a przecież tak powszechna w życiu nie jednego artysty. Szmer sławy otaczający jego imię, przykry mu raczéj niż pochlebny, odbiera mu bowiem swobodę. Tworzyć i tworzyć, to była jego rozkosz! Co mu po chwale, co po zysku jaki mu ta chwała przyniesie. Pieśń raz wyśpiewana mało go już obchodzi, on ma ich w duszy tyle, stokroć jeszcze cudniejszych, bo nieujętych w żadne formy i prawa!

Schubert był z natury nieśmiały, powodem tego była w wielkiéj części powierzchowność wszelkiego pozbawiona wdzięku. Twarz miał okrągłą, szeroką, jakby nalaną, czoło niskie, usta grube, brwi kępiaste, nos przypłaszczony, włosy kędzierzawe,—wszystko to nadawało mu postać murzyna. Niskiego wzrostu, z plecami wypukłemi i wysuniętemi naprzód ramiony, niezgrabnie się przedstawiał, tembardziéj gdy dodamy do tego grube ręce, palce krótkie i niekształtne. W zwyczajnych chwilach rysy jego nie wyrażały ani rozumu, ani wyższego natchnienia, czasami tylko gdy mówił o muzyce, zwłaszcza o muzyce Bethovena, jego oko ożywiało się nagle i rozpromieniało twarz całą. Ale tę szpetną powierzchowność nagradzały hojnie przymioty serca i charakteru. Dobrym był synem, kochającym bratem, przyjacielem gotowym zawsze do ofiary.

Jeśli Schubert uciekał od świata, chętnie za to spędzał wieczory z kolegami, przy kuflu piwa lub przy pełnéj wina szklenicy, czy w gospodzie czy u którego z towarzyszów. Pokazują do dziś dnia pod koroną węgierską pokój, gdzie się wieczorami zbierało wesoło grono artystów. Z malarzy bywali tam sławni późniejsi mistrze Sznor i Schwindt, z poetów Senn i Bourenfeld, z muzyków Lahner dzisiajszy dyrektor opery z Monachium. Schubert na tych schadzkach czuł się w właściwym sobie żywiole; on głównie ożywiał te gwarliwe zebrania, przeplatane pieśnią, deklamacją i winem, z których jak mówi naoczny świadek, krzykliwa gawiedź powracała w gyzgak do domu. Pokazuje się ztąd, że owa tak zwana Cyganja artystyczna (Bohème) opisana dowcipnie przez Murgera, nie była wyrobem samego ducha francuzkiego. Wiedeńczycy wyprzedzili Paryżan.

Kto wie czy pod wpływem tak duszącéj atmosfery nie byłby się zużył talent Schuberta, gdyby go nie podtrzymywały letnie przejażdżki w piękne góry Styryjskie. Przebywając w nich lato 1821 roku młody kompozytor, powziął myśl wielkiéj opery i wykonał ją w krótkim czasie. Opera ta *Alfonso e Estrella*, nie przypadła do gustu Wiedeńczykom, w wielkiéj części z powodu nudnego libretta. Tenże sam los spotkał *Rosamundę. Wojny domowéj* czyli *krucjaty kobiet*, dyrekcja wcale nie przyjęła; w czterdzieści lat dopiero, (1861) zapomnianą operę wyciągnięto z repertuaru, przedstawiono ją w Frankfurcie i Monachium z niezwykłem powodzeniem.

Schubert gorzko uczuł doznany zawód; smutno też wyraża się w liście do przyjaciela pisanym w początkach 1824 roku. „Mój spokój na zawsze zniweczony; serce moje ciężkie, nigdy go już nigdy nie odzyskam. Kiedy zasypiam nocą, radbym się już wcale nie obudził, gdy się budzę, ranek przypomina mi troskę wczorajszą.“

Niemniéj smutny list pisze z Salzburga. „Zwiedziłem pomnik Heydna w tutejszym kościele. Niech cichy duch twój powieje na mnie zacny mistrzu! pomyślałem — nie dano mi wznieść się do tego spokoju, do téj pogody, do jakiéj ty się podniosłeś, ale nikt na ziemi, lepiéj cię nie uczci odemnie. I ciężka łza upadła mi z oczu na kamień.“

Śmierć Bethovena, którego Schubert czcił nad wszelki wyraz, dotknęła go boleśnie. Dowiedziawszy się o ciężkiéj jego chorobie, lubo nigdy nie bywał w jego domu, pobiegł do łoża śmierci i gorącemi łzami oblał wezgłowie konającego. Zwłoki jego odprowadził ze czcią na cmentarz. Wracając z pogrzebu, w towarzystwie Lahnera i innego artysty, wstąpił po drodze do winiarni. Tam młodzi towarzysze spełnili toast na cześć zmarłego, drugi zaś na cześć tego z pomiędzy trzech, który najpierwszy pójdzie za mistrzem. Któżby był odgadł, że w rok zaledwie trzydziestoletni Schubert spocznie na tym samym cmentarzu!

Ostatni rok życia pomyślnie rozpoczął się dla ar-
ysty.

Poraz pierwszy idąc za radą przyjaciół, wystąpił
koncertem publicznym, i doznał najświetniejszego
rzyjęcia. Wydawcy lipscy zachęceni powodzeniem
ego pieśni, weszli z nim w korzystne układy. Przy-
złość uśmiechnęła się do niego, — zapóźno niestety!
ni jego były już policzone. Czternaście smętnych
nelodyj, które wyśpiewał w tym roku do słów Stedla
Hejnego, przezwano *pieśniami łabędziemi.*

Jesienią zapadł na zdrowiu: czując się słabym
racował tém usilnéj, chciał odegnać chorobę siłą
oli. Zabrał się wtedy do nowéj opery *Hrabia*
Gleichen. Gorączka nerwowa wzmagającą się z każ-
ym dniem, wytrąciła mu pióro. Umarł 19 Listopa-
a 1828 w objęciach starego ojca, otoczony liczną
odziną.

Ciało Schuberta obleczono w zakonny habit, głowę
ego zwieńczono wawrzynem. Cały Wiedeń odwiedzał
włoki młodego mistrza, zasypując trumnę wieńca-
ni. Towarzysze na barkach ponieśli go do grobu.

Artyści wiedeńscy urządzili parę koncertów, z któ-
ych dochód przeznaczono na pomnik. Wkrótce
eż na cmentarzu Wäring pod Wiedniem, stanął o-
tazały grobowiec z popiersiem dłuta Arnolda.
Poeta Grillparrel nakreślił na nim napis:

Śmierć ukryła tu bogaty łup
I bogatsze jeszcze nadzieje.
Tu spoczywa Franciszek Schubert
Urodzony 31 Stycznia 1797
Zmarły 19 Listopada 1828.
Żył lat 31.

Sława Schuberta rosła w miarę rozwijającego się
usposobienia w tematach narodowych. Do jéj usta-
lenia w Niemczech i Europie, przyczynili się naj-
więcéj Schuman i Liszt, zapaleni zwolennicy zmarłe-
go mistrza.

Zostawił Schubert bajeczną liczbę utworów, ledwie
w małéj cząstce wydanych za życia artysty. Wiele
z nich wydano później; nie mało jednak zostało po-
dziś dzień w rękopismach, niektóre zupełnie zaginę-
ły. Katalog prac jego obejmuje kilkanaście stron-
nic.

Wyliczmy tu same cyfry; jakże one wymowne!

Schubert utworzył 600 pieśni (Lieder): 71 pieśni
na kilka głosów: 10 kantat, hymnów, psalmów i t. p.
1 Oratorium, 19 Sonat na dwie i cztery ręce, 41
sztuk na orkiestrę pokojową: kwintetów quartetów,
tercetów i t. p. 9 symfonii, 2 uwertury; 7 Mszy, 16
Oper. Oprócz tego mnóstwo pieśni kościelnych.

Oto opery Schuberta: Bliźnięta, Harfa zaczarowa-
na, Rosamunda, Alfonso e Estrella, Krucyata kobiet,
Pałac Lucypera, Fernando, Czteroletni posterunek,
Przyjaciele z Salamanki, Klaudina z Villabela. Za-
kładnik, Fierabras, Rycerz ze zwierciadłem, Minne-
singer, Adrast, Hrabia Gleichen.—

Wszystko dziś zaczyna poważnieć we Francji; wi-
dać to i w życiu i w literaturze, a nawet w dzienni-
karstwie. Sztuka dramatyczna pójdzie też niewąt-
pliwie w tym kierunku. Teatra wprawdzie mało
dotąd przedstawiły nowych utworów, na afiszach
czytamy same wznowione dramata i komedje; a je-
dnak parę maleńkich obrazków jakie się pojawiły,
zapowiadają pomyślną a upragnioną zmianę.

Odeon po długiem zamknięciu wystąpił z małą
sztuczką p. Andrzeja Theuriel p. t. *Jean Marie.*
Sielski ten dramacik w jednym akcie, znalazł pow-
szechne uznanie, tak poważnych krytyków jak i pu-
bliczności. Juliusz Janin znakomity sprawozdawca
w Debatach, wyraża się o nim bardzo przychylnie,
a nawet przytacza całe sceny, pisane pięknym wier-
szem, co więcéj nacechowane zdrową myślą.

Przebiegnijmy i my ten dramatyczny obrazek,
pełen prostoty w pomyśle i wykonaniu.

Za podniesieniem kurtyny, widzimy przy koło-
wrotku młodą Teresę, wieśniaczkę bretońską, tylko
co zaślubioną z podeszłym Joelem; przędzie ona na
podwórku przed chatą. Wkoło niéj widoczna zamoż-
ność i dostatek.

Teresa śpiewa bardzo żałosną piosenkę. Znać
pieśń ta odnawia niezgojoną ranę w jéj sercu, raz
poraz bowiem odejmuje rękę od kądzieli, i białym
fartuszkiem ociera łzy płynące po gładkiem jéj licu.

Joel, powraca z jarmarku, wesoło wita żonę.
Teresa siłą woli przywołuje uśmiech na usta, wita
męża z rozpogodzonem czołem.

TERESA.

Witaj — że z powrotem.
Dobrześ sprzedał pszenicę?

JOEL.

Powracam ze złotem.
Zgarnąłem go nie mało. Jak żyję na świecie
Nie pomnę takich targów! Okoliczni kmiecie
Roją się jak mrowisko; — a ludek wesoły!
Ten pędzi na targ owce, ten od pługa woły.
Każdy zaleca swoje śmiało a wymownie,
Po gospodach przez szyby połyskują głownie,
W wielkich kotłach przy ogniu mięsiwo się warzy.
Piją wino za stołem i młodzi i starzy.
Pełno gwaru i śmiechu! Ubrane od święta
Obok poważnych matron snują się dziewczęta.
Kupcy porozkładali swój towar bogaty,
Kopiaste sztuki płótna — i cenne bławaty;
Tam blask drogich klejnotów mile oko wabi,
Tu nęci cudny połysk barwistych jedwabi.
I jam też o gościńcu nie przepomniał wcale,
Przywiozłem ci na szyję te krasne korale,
Pięknie wyda się przy nich twoja cera hoża.
Tu materja na gorset. Podobno z za morza,
Tak ręczył cudzy kupiec.

(Podaje Teresie materję)

Ja się nie znam na tem.
Patrz, oto przetykane złoto ze szkarłatem,
Z dalekiego gdzieś świata towar sprowadzony,
Przywieziony go Chińczyki pewno czy Japony.
Dziwna jakaś ich odzież, ogorzałe twarze,
Przyszli mi na myśl biedni nasi marynarze!

TERESA (zasłaniając oczy)

Marynarze!

W tym wykrzyku młodéj kobiety wybija na jaw
cała tajemnica jéj serca. Stary Joel zgaduje smut-
ną prawdę, przychodzi do wyznania.

TERESA.

Gdym przyrzekła Joelu, że będę twą żoną,
Chciałam ci wyznać prawdę, ale mi wzbroniono.
W obec matki, jam drżała jak listek od trwogi.
Lecz dziś gdybym twego domu przestąpiła progi,
Wszystko jak na spowiedzi wyjawić ci muszę,
Niech zrzucę raz ten kamień co mi gniecie duszę!
Niedaleko od wioski, przy drodze, pod borem,
W biednéj chacie rybackiéj, tuż po nad jeziorem
Mieszkał dorodny młodzian cała wieś go znała,
Imię mu było Janek. Pamiętam od mała
Rwaliśmy z sobą kwiatki, zbierali jagody,
On nieraz drobne rybki przynosił mi z wody,
Zawsze byliśmy razem; w kościele i w szkole,
Aż kiedy na młodzieńca wyrosło pachole,
I ja także dziewczęcych gdym dobiegła latek,
Zmieniliśmy pierścionki w obec naszych matek,
Ależ Janek ubogi żenić się nie może,
A więc poszedł na majtka, popłynął za morze
Na dalekie het wyspy pomiędzy Japony;
Pewien że rychło wróci w swe rodzinne strony,
Że dźwignie chatę ojców za zdobyte złoto,
Odjechał. Jam została z żalem i tęsknotą.
Alež miłość lotniejsza nad okrętów żagle.
Myślą goniłam za nim wślady; aż tu nagle
Nim się w oczekiwaniu przewlekło dwa lata,
Smutna wieść z dalekiego dobiega nas świata,
Że okręt gdzieś na strome zapędzony skały
Rozbił się podczas burzy, i z załogi całéj
Żywa noga nie uszła — tylko martwe zwłoki
Wyrzucił na wybrzeża ocean głęboki,
I odtąd nic o biednym nie słyszałam Janku.

JOEL (sprzekąsem).

Ba! nieraz ci to bywa, pięknego poranku
Rozbitek, dawno łzami opłakan rzewnemi,
Zdrów i cały powraca do ojczystéj ziemi!

Ledwie, że to wyrzekł stary Joel, zaledwie że od-
szedł na chwilę, aby pokryć pomięszanie wywołane
szczerem wyznaniem żony, przybiega ogorzały mło-
dzian w marynarskim kaftanie. Teresa krzyknęła...
To Janek!

Młodzian chwyta jéj rękę z uniesieniem najwyż-
széj radości:

JANEK.

Sam nie wierzę sobie!
Znów cię widzę, znów ściskam twe rączęta obie,
Chciałem zejść cię z nienacka, nie pisałem z drogi;
Gdy okręt stanął w porcie, ile starczą nogi
Pędzę tu, mijam co tchu miasto i przedmieście,
Przez manowce i rowy dobiegam nareszcie,
Jak tu świeżo, zielono! jaka woń na łące,
Po krzewinach się wiją powoje kwitnące,
Jakże cudnie te pola w blasku słońca toną,
Patrzę, słucham i duszą jak ze snu ocknioną
Ogarniam te obrazy: o Boże, mój Boże!
Serce tyle radości czyż pomieścić może!
A gdy z po za jabłoni zobaczyłem zbliska
Dach twéj chaty i biały dym z twego ogniska
Ulatujący w górę, gdym przeskoczył jeszcze
Ten znany mi żywopłot — wskroś zbiegły mnie dreszcze
Tuman padł mi na oczy, myśl jakby zbłąkana
Nic rozpoznać nie umie, i oba kolana
Zachwiały się podemną!

Młodzian wyciąga ręce do Teresy, ale młoda ko-
bieta cofa się, zasłania oczy. „Janku, rzecze smutno,
trzeba nam się pożegnać." Marynarz zgaduje praw-
dę — ona żoną innego. Następują gorzkie wyrzuty:

JANEK.

W noc ciemną, by odpędzić dręczącą tęsknotę
Zwracałem oczy w niebo, i gwiadeczki złote
Szeptały mi o tobie. Tymczasem w twéj myśli
Coraz słabiéj a słabiéj mój obraz się kreśli!
Aż zatarł się do reszty! Gdym tułał się biedny
Po dalekich gdzieś morzach, trudno saméj jednéj
Przeżyć nudnych lat kilka we łzach i boleści,
Łzy przed czasem zagasną blask krasy niewieściéj.
Tu zabawa pociąga, odpust mile wabi,
Jak tu wzgardzić ponętą złota i jedwabi.
Jak nie uledz namowom, jak odprawić swaty
Gdy śle je oblubieniec stary lecz bogaty.
O! czemuż, kiedy w okręt biły wściekłe fale,
Ilekroć nieszczęśliwy niebu się pożalę,
Te gwiazdy tak bezczelnie w oczymi kłamały,
Czemuż mnie nie pożarły rozhukane wały:
Żebym skonał tam w głębi oceanu głuchéj,
I nie zgadł, że dla złota nikczemnéj okruchy
Tereso! tyś się z duszą sprzedała i ciałem!

Po łzach i boleści przychodzi chwila upamiętania.
Rzecz skończona,—potrzeba się rozłączyć. Janek
przebacza Teresie — odchodzi w świat. Ona ociera
łzy, uczucie powinności wyrabia w niéj odwagę. Siada
do kołowrotka— w tem zbliża się do niéj stary Joel.

JOEL.

I cóż?

TERESA.

Nie troszcz się mężu — on już nie powróci!

Postać kobiety spokojna, w oku jéj znać silne postanowienie. Joel bierze z uczuciem obie jéj ręce. Zasłona spada.

Seweryna D...

KORESPONDENCJA

TYGODNIKA MÓD.

ZE LWOWA

(Dokończenie.)

Rok 1872 będzie dla Lwowa pod pewnym względem zjawiskiem fenomenalném. Dotąd bowiem nie pojawił się ani jeden prospekt nowego pisma, gdy tymczasem w latach ubiegłych o tym czasie zapowiadano już mnóstwo nowych projektów literackich. Niedawne katastrofy, które spotkały kilka pism lwowskich, wywarły widocznie skutek pożądany i poskromiły nieco zapał wydawniczy lwowskich niby — literatów i niby — mecenasów. Ta rozwaga i chłodniejsze ocenienie naszych stosunków wcale niepomyślnych dla przedsiębiorstw tego rodzaju, pozbawi nas wprawdzie kilku jednodniówek literackich, ale wyleczy za to goręt̄szych wydawców z lekkomyślnych prób i z czasem może doprowadzi do założenia wydawnictwa trwałego. Kraków nie poszedł za przykładem Lwowa, bo ogłosił prospekt nowego pisma zbiorowego, które wychodzić będzie w kilku miesięcznych zeszytach pod napisem: *Na dziś.* Program tego wydawnictwa jest bardzo ponętny i obiecujący, a szereg pisarzy, którzy przyrzekli mu poparcie, jest nawet imponujący.

Z nowym rokiem nie powstanie tedy u nas żadne nowe pismo, ale natomiast doczekamy się wznowienia bardzo pożytecznego wydawnictwa. Pojawi się bowiem po przerwie kilkuletniej dodatek naukowy do Gazety Lwowskiej w formie miesięcznych zeszytów. Gazeta Lwowska jest organem urzędowym, a więc niezawisłą zupełnie od ilości prenumeratów. W takim stanie rzeczy wydawnictwo Gazety Lwowskiéj może być trwałem, bo zrażać się nie potrzebuje chwilowym brakiem czytelników. Dodatek do Gazety Lwoskiéj w dawniejszéj formie był pismem wysokiéj wartości naukowéj. Obok starych dokumentów rzucających światło na niejeden okres naszych dziejów, zawierał dodatek ten artykuły z innych działów nauki którym przyznawano wielką wartość. W dzisiejszéj formie, dodatek miesięczny do Gazety Lwowskiéj, obejmować będzie prace historyczne, ekonomiczne i statystyczne, a więc wypełni dotkliwą lukę w szeregu naszych wydawnictw peryjodycznych.

Na wystawie księgarskiéj spotkaliśmy się w listopadzie z kilku nowemi książkami. Nakładem księgarni Seyfarta i Czajkowskiego wyszła z druku książka Wł. Łozińskiego p. t. *Z estetyki i z życia.* Jest to zbiór odczytów dla kobiet wygłoszonych przez autora w ubiegłym roku.

Nakładem A. Vogla ogłosił Aureli Urbański cały tomik poezji, z których większa częśc drukowaną już była w różnych czasopismach lwowskich. W Krakowie pojawił się książkowy odcisk fejletonów Kraju p. t. *Plotki i prawdy.* Jestto udatny obrazek satyryczny stosunków galicyjskich z czasów niedawnych. Zakład Ossolińskich wydał własnym nakładem Kodex Tyniecki, a nakładem redakcyi Gazety Lwowskiéj wydany został zbiór dyplomów i dokumentów z archiwum Wielickiego. Na każdy sposób jestto piękny szereg publikacji, które zbiegły się w jednym miesiącu i zrehabilitowały trochę wydawnictwo galicyjskie, słynące od dłuższego czasu z nadzwyczajnéj skąpéj produkcji. Do Galicyi przybyło kilka bardzo cennych pamiątek po Adamie Mickiewiczu, które syn poety sprzedać musiał, gdyż po ostatniéj wojnie domowéj we Francyi, przedsiębiorstwo jego mocno zachwianem zostało. Kurator zakładu Ossolińskich nabył od p. Władysława Mickiewicza za kilka tysięcy franków biust Adama, wspaniałe dzieło znakomitego rzeźbiarza francuzkiego Dawida d'Angers. Hr. Stanisław Tarnowski kupił brulion Pana Tadeusza także za kilka tysięcy franków. Manuskrypt ten pisany bez przerwy ręką Adama Mickiewicza, jest bardzo czytelny i zawiera tylko nieliczne poprawki.

Br. Ł.

Przegląd literacki.

„Jedwabnictwo nasze i obce“ opisane przez Adolfa Boguckiego członka Rady nadzorczéj spółki jedwabniczéj w Warszawie. *Warszawa 1871 roku w księgarni Gebethnera i Wolfa.*

Są to dwa odczyty jakie autor miał na rzecz Towarzystwa Dobroczynności, w sali teatralnéj gmachu tegoż Towarzystwa. Jakkolwiek nacisku słuchaczy w niéj nie było, zebrane grono po dwakroć z całą przyjemnością wysłuchało obu odczytów, tém więcéj że p. Bogucki, popierał je praktycznie, okazując przy kokonach, sposób dobywania z nich przędzy jedwabniczéj, i zarazem przędzenia. Tym sposobem prelegent, nietylko potrafił zająć swoich słuchaczy, ale co ważniejsza przekonać, że tak chów morwy, jak jedwabników, jest dla naszego klimatu stosowny, a przy lżejszéj nawet pracy od innych zajęć, dać może nietylko hojny godziwy zarobek, ale wielu rodzinom dostatek zapewnić.

Obce kraje zbierają z tego przemysłu po kilkadziesiąt miljonów rocznego dochodu, u nas dziwna apatja, i niedbałość pozbawia tak kraj cały ogromnych summ, jak jednostki zamożności.

Nie pierwszy to głos wymowny p. Adolfa Boguckiego, zwraca uwagę ogółu na przedmiot tak ważny.

Przed 18 laty, już *Spółka jedwabnicza* zawiązana, zaczęła działania swoje przy gorliwym współudziale p. Aleksandra Kurtza, i chociaż drobne początki, zbierać owoce, z chowu jedwabników, i uprzędów: wyroby z nich nawet w kraju dokonane widzieliśmy z zadowoleniem.

W roku 1853, Spółka pomieniona, wydała w drukarni St. Strąbskiego, pewien rodzaj, że tak nazwiemy *elementarza* jedwabniczego p. n. *„Ogólny rzut oka na jedwabnictwo“* w którym znajdujemy jasny wykład o *Morwie* jako głównym żywiole jedwabników i podstawie całego przemysłu,— daléj o *jedwabniku* i jego przędzy, o rozwijaniu oprzędów, a zakończa wyrachowanie liczebne kosztów i otrzymanego zysku, oparte na długoletniem doświadczeniu.

Nie umiemy wyjaśnić powodów, które stanęły na przeszkodzie rozwojowi już nawet urządzonego w Warszawie zakładu przędzalni: w lat kilka głucha cisza na tem polu pracy zapanowała, i dopiero teraz widzimy nowe usiłowania, w rozbudzeniu zamiłowania do hodowli tak morwy jak jedwabników.

Drzew morwowych już mamy, dzięki gorliwości wielu ziemian i pojedynczych zwolenników jedwabnictwa poważną ilość, jak na początek, ale do rozwoju na wielką skalę przemysłu jedwabniczego, bardzo skromną: jakkolwiek bądź, ogół przekonał się o możności utrzymywania u nas największych plantacji morwy, i dawny przesąd dzięki tym staraniom upadł.

W roku bieżącym dawne usiłowania, jakby pogrzebane w niepamięci, szczęśliwie podniesiono — a odczyty p. A. Boguckiego, z praktycznym okazem rozwijania kokonów, pokazały, jak małéj pracy i trudów potrzeba, ażeby otrzymać można przędzę jedwabniczą. Gdyby p. Bogucki, w ten sam sposób, jak u nas, mógł swoje mieć odczyty po innych większych miastach krajowych, nie powątpiewamy że w krótkim czasie znalazłby znaczną liczbę zwolenników, którzy zagrzani gorącem jego słowem, wzięliby się chętnie tak do rozszerzania plantacji morwowych, jak i chowu jedwabników.

P. Bogucki, w końcu pierwszego odczytu wyrzekł: „Najskuteczniejszym środkiem do ustalenia u nas po kraju jedwabnictwa, widzę w współdziałaniu kobiety. Miejmy nadzieję, że nasze same niewiasty zrozumiawszy istotną potrzebę kraju, podniesienia u nas jedwabnictwa jako przemysłu ze wszech miar użytecznego, zechcą czynnie należeć, albo do działań współki jedwabniczéj, lub też zawiązać osobne Towarzystwo jedwabnicze Dam, dla wywiązania się z obywatelskich obowiązków, jakie na nich ciążą. Że kobieta czynnym wpływem swym podniesie u nas jedwabnictwo, nie ma żadnéj wątpliwości, a wdzięczność kraju i ubogiéj warstwy społeczeństwa, prócz zysków materjalnych, najlepszą będzie zapłatą. Rzucamy myśl do Was, zacne panie, należy ją podnieść i rozwinąć.“

Za prawdę, przemysł tak ważny, tyle bogactwa i zamożności mogący krajowi przynieść, tylko staraniem naszych niewiast, może być wypielęgnowany i rozwinięty na największą chociażby skalę.

Chów morw, znajdzie miejsce w ogrodach, sadach, i tych, przy dworach obszernych bez potrzeby, podwórzach, na których bezpłodnie kawały gruntu jałowieją: hodowla zaś jedwabników i otrzymywanie przędzy, w porze roku najpiękniejszéj, bo w lecie— nie potrzebuje kosztownych nakładów. Na każdym choćby najmniejszym folwarczku, potrzebną ustronną, a odpowiednią izbę, znaleść można. Lekka praca, cierpliwość i czujność troskliwa w ciągu kilku miesięcy,—oto przymioty dla otrzymania oprzędów jedwabniczych: a gdzież znajdziemy te przymioty, jak nie u naszych niewiast?

Ale przemysł jedwabniczy nietylko po dworach ziemiańskich przyniósłby znakomity dochód; o ileżby on mógł podnieść dobryt i zamożność miast naszych i miasteczek, teraz w większéj części zamienionych w osady gminne. Kto zna kraj nasz dobrze, kto widział je przed czterdziestu laty, to z wyjątkiem miast gubernialnych i powiatowych, reszta nietylko w ciągu blisko półwiekowem, w niczem się nie podniosła, ale znakomicie podupadła. Badając bliżéj powody tak smutnego stanu, przekonywamy się, że najgłówniejszym jest brak oświaty— i brak drobnego nawet przemysłu. Mieszczanin jest głównie niby rolnikiem, ale gospodarzy gorzéj stokrotnie jak wieśniak prawdziwy: uprawa gruntu niedbała, chów inwentarzy najgorszy — ogrody opuszczone, nigdzie ani pasieki z pszczołami, ani sadzawek zarybionych. Kawały gruntu nawet najżyźniejszego leżą pustkami Tu, w skupieniu ludności, widzimy łatwość co rychlejszego rozszerzenia zamiłowania do przemysłu jedwabniczego: rozwoju plantacji mórw — a zarazem hodowli jedwabników. Potrzeba tylko dobréj woli i upowszechnienia téj prawdy w ogóle, że do najważniejszego przemysłu który w krótkim czasie hojną korzyść przynieść może, jest rozszerzenie chowu mórw znoszące nawet najcięższe zimy mroźne, a obok nich hodowla jedwabników.

Bóg daj! ażeby nowe usiłowania uwieńczył pomyślny skutek, aby teraz, nastąpiła chwila poważnego zastanowienia; że (użyjemy tu słów p. Adolfa Boguckiego) „zrozumiemy teraz istotne potrzeby i korzyści kraju, nie wywołując w przyszłości smutnéj karty w historji za obojętność i złą wolę, tracąc niewyczerpaną w jedwabiuę kopalni złota, w zamian za Olkuskie srebro.“

G.

Mały fizyk czyli opis doświadczeń z magnesami, elektrycznością, światłem, wodą etc. etc. etc. dla młodzieży od 8 roku życia, objaśniony 125 drzeworytami. Warszawa 1871 roku. Nakładem Redakcji Przeglądu Tygodniowego.

Przy końcu roku każdego, przed samemi świętami ruch zwykle wielki pomiędzy wydawcami kalendarzy i książek dla dzieci.

O pierwszych, jeśli mają jaką taką wartość literacką, pomówimy we właściwym czasie, o drugich zaś chcemy teraz parę słów powiedzieć.

Jest zwyczaj, że na kolendę (a nie kolędę) jedni drugim dają podarki. Rozsądni rodzice zamiast świecidełek bez żadnéj wartości, lub bezdusznych niby *gier towarzyszkich*, dają w rękę dzieciom pożyteczną, ale nie nudną i mniéj więcéj ujmującéj powierzchowności. Czysto naukowa książka w całéj skromności swojego wydania, byłaby tu nie na swojem miejscu.

Otóż takich książek nie mamy prawie wiele, a jeśli mamy, albo zbyt cklive i dziecinne dla samych dzieci, albo przestarzałe i na dziś niestosowne, jak np. tak szanowny w swoim czasie *Pielgrzym w Dobromilu*, albo też z powodu zbyt wygórowanéj ceny nieprzystępne nawet dla zamożniejszych. Już-to trzeba przyznać, że książki dla dzieci i książki do

abożeństwa, jeśli tylko troszeczkę staranniejszego ą wydania, bynajmniéj taniością nie grzeszą.

Dla tego z przyjemnością powitaliśmy *Małego zyka*, którym nas obdarzyła redakcja Przeglądu ygodniowego. Książeczka ta łączy właśnie *utile ulci*, bo bawiąc uczy. Autor korzystał nie tylko dawniejszych tego rodzaju fizycznych zabawek, ołoszonych pod szumną nazwą à la Bosko itd., ale iele dodał nowych, a dowcipnych doświadczeń.

Wielce pochwalamy autorowi, że do zabawek fiycznych nie szuka długo potrzebnych materjałów, znajduje je wszędzie pod ręką, i to prawie nic nie osztujące. Z wyjątkiem jednéj machiny pneumaycznéj, jako droższéj i wychodzącéj z zakresu zabaek, wszystkie inne potrzebne przyrządy w każdym asobniejszym domu na wsi znaleść można, a w mieście z łatwością o nie się postarać.

Pod względem pedagogicznym, *Mały fizyk* bardzo rafnie sobie postępuje, gdy wrazie trochę niebeziecznejszych doświadczeń, upomina, ostrzega i nie ozwala ich czynić inaczéj, jak pod okiem osób starzych i znających się na rzeczy. Dla rodziców i oiekunów, *Mały fizyk* wszelkie pod tym względem rzedstawia bezpieczeństwo.

Niektóre z tych zabawek fizycznych znane są młodym czytelnikom *Przyjaciela dzieci*, w którym omieszczone były, zachęcą ich więc témbardziéj o poznania całéj książki, która nie będąc czysto aukową, nie może się także nazwać samą zaawką.

Autor najmniejsze prawie doświadczenie uwidoczia drzeworytami, których liczba w *Małym fizyku* est bardzo znaczna, wszelako naukowego wyjaśnieia, dla czego to lub owo uczynić należy, niema, — lbo się autor nie dość jasno tłomaczy, bo nawet najacy już pewne naukowe uzdolnienie młodzi czyelnicy rozumieć nie mogą, a przynajmniéj robioe próby wcale im się nie udają. Wiadomo jak to młode głowy odstręcza, dlatego szczerze radzimy autorowi, aby przy drugiéj edycji niektóre ustępy rzerobił i uzupełnił, a tem samem ułatwił zrozumienie rzeczy nawet mniéj rozwiniętego umysłu dzieiom.

ZMIANY

I ODKRYCIA NAJŚWIEŻSZE

w Afryce.

(Dalszy ciąg).

O ważnéj podróży Dra *Nachtigala* z Mursuku do Tibesti i jego szczęśliwym powrocie donosiły dawniéj czasopisma geograficzne. Dr. Pettermann wydał wówczas odezwę, zachęcając do wspierania odważnego badacza do zaopatrzenia go w fundusze i przysłania mu zbrojnego orszaku, aby mógł dostać się bezpiecznie do Kuka, gdzie mieszka sułtan Bornu, imieniem Omar. Minęło kilka miesięcy a Dr. Nachtigall wioząc sułtanowi podarunki od króla pruskiego, czekał i czekał. Zamierzał on puścić się w drogę z poselstwem baszy Tripoli (Ali Risy), które także miało powieść podarunki sułtanowi Bornu, ale Basza nie chciał na to pozwolić powodem tego że obecność europejczyka mogła była stać się dla baszy bardzo niedogodną, trudnił się bowiem handlem niewolników, który jest przez Portę zabroniony. Posyłając sułtanowi Bornu podarunki, chciał tylko wynagrodzić go za przysługi w tym handlu świadczone i zachęcić go do nowych spekulacyi. Jednakowoż poseł niemiecki w Konstantynopolu zniweczył intrygi Ali Risa baszy i wyjednał odwołanie go z téj posady. Gdy się to stało, Nachtigall puścił się przecież z karawaną do Kuka. Przybył tam w dobrem zdrowiu d. 6 Czerwca 1870. Sułtan Omar przyjął go uprzejmie i ułatwił mu przedsięwzięcie nieskończenie ważnych pod względem naukowym poszukiwań.

Tymczasem nadchodziły ciągle sprawozdania Nachtigalla o dawniejszéj jego podróży do *Tibeste* czyli *Tibbu*. Czasopismo geograficzne Pettermanna (Mittheilungen 1870) podało mapę kraju, który po niekąd był odkrył. Góry główne tego kraju ciągną się nieprzerwanym łańcuchem z północno zachodu ku południu wschodowi i biorą początek w Tarso, rozłożystym grzbiecie dolomitowym. Najwyższe szczyty tych gór są Tussidde (8000) Timi, Boto i Bomo. Po obu stronach tego łańcucha gór, w dolinach, ciągnących się ku zachodowi, jakoteż w dolinie Bardai ku wschodowi zwróconéj, mieszka nędzny lud, skazany na ubóstwo i niedostatek wszelkiego rodzaju. Chociaż język tego ludu podobny jest do mowy mieszkańców Kanuri, Nachtigall sądzi, że mieszkańcy Tibbu bliżéj spokrewnieni są z Berberyjczykami n.ż z Negrami. Pod względem etnograficznym skreślił on tak smutny obraz tego kraju, że z czemś podobnem jeszcześmy się nigdzie nie spotkali; nie sądzimy jednak, aby obraz ten był przesadzony. Mieszkańcy nie mają wyobrażenia o ogrodnictwie, o uprawie zboża lub daktyli, zgoła o niczem co należy do rolnictwa i żywią się głównie tylko roślinami, dziko rosnącemi na stokach gór. Ponieważ wegetacja naturalna jest bardzo uboga, zaledwie mogą wyżywić swoje wielbłądy i kozy. Mleko kozie, tudzież ziarna dziko rosnącego Panicum colonum są najpospolitszem pożywieniem mieszkańców, mięso zaś rzadko jadają. Przemysł stoi na bardzo niskim stopniu. Garbowanie skór kozich, wyrób nędznéj broni, mat, siodeł i powrozów, oto wszystko. Chociaż w dolinach przebywa wielkie mnóstwo gazelli i antylop, mieszkańcy nie zajmują się polowaniem, natomiast dla zabicia czasu przedsiębiorą wyprawy rozbójnicze i podróże. Miejsce pieniędzy zastępuje im materja bawełniana (Cham), przywożona, z Tripoli; w najnowszym czasie pojawiło się jednak wiele talarów Maryi Teresy, które z powodu braku drobnéj monety, bywają dzielone na dwie i cztery części. Tibbuanie wyznają w ogóle religią mahometańską, i są do niéj fanatycznie przywiązani, chociaż religia ta panuje u nich od niedawna i chociaż tak język jak i właściwe nauki koranu są im nieznane. Wyobrażenia religijne przodków zupełnie zatarły się w ich pamięci; częs e jednak składanie ofiar z pobitych kóz na ubłaganie deszczu i urodzajności ziemi zdaje się być zabytkiem z czasów pogańskich. Umarłych grzebią w ziemi, do talizmanów przywiązują wielką wagę, i noszą na ciele mnóstwo zdań z koranu w kieszonkach skórzanych. Wielożeństwo jest im dozwolone, nigdy jednak tego pozwolenia nie nadużywają. Handel niewolnikami nie jest im obcy, wymieniają ich w Kanarze za wielbłądy. Z konieczności żyją tak oszczędnie, że nieraz głód cierpią, łatwo więc pojąć jakiego losu doznają ich niewolnicy. „Jakoż, pisze Nachtigal, często przyprowadzali do mnie chorych niewolników, których jedyną choroby przyczyną było wycieńczenie i głód. Nie będzie się dziwił temu okrucieństwu Tibbuanów, kto pozna ich sobkostwo. Przytem niedowierzanie nikomu, podejrzliwość, cechuje zawsze i wszędzie wszystkie ich czynności.

Chaty ich stoją zdala od siebie, ukryte pomiędzy skałami, bo każdy usiłuje ile możności ukryć się przed sąsiadem. Nie ma tu ani śladu ducha towarzyskości, o wspólnych rozrywkach, muzyce, tańcu zabawach i żartach ani mowy być nie może. Wobec takiego egoizmu oczywiście nieznanemi są wszelkie poruszenia serca. Nie spodziewam się spotkać jeszcze kiedy naród, któremu dobroć serca byłaby równie obcą, niezrozumiałą, niepojętą. Że tak jest a nie inaczéj dziwić się nie można charakter taki wyrabia się zwykle w nędzy i niewoli, a mieszkańcy kraju Tibesti byli zawsze ofiarami silniejszych sąsiadów i najokropniejsza nędza zawsze była ich udziałem.

Od czasu jak Henryk Barth spędził w *Timbuktu* z niebezpieczeństwem życia siedm miesięcy (1853-1854) pod opieką szlachetnego szeika El Bakay, żaden Europejczyk nie zdołał dostać się do tego miasta, oprócz Aliun Sala, oficera francuskiego religii mahometańskiéj, który był tam w roku 1859. Obecnie konsul francuzki w Mogadorze, Beaumier podaje w czasopismach geograficznych wiadomości że w Timbuktu powstała niewielka osada żydów marokańskich i ogłasza wyczerpujące sprawozdanie jednego z członków téj osady, Rabbi Mardochaj tak o jego podróżach z południowego Marokko do Timbuktu, jak nie mniéj o stosunkach tamtejszych w ciągu ostatnich lat dziesięciu.

Mardochaj urodzony i zamieszkały w Wadi Draa wybrał się do Timbuktu w r. 1858 w interesach handlowych. Dążył ciągle w kierunku południowo-wschodnim środkiem Sahary i niebył narażony na niezmierne uciążliwości i trudy. Wogóle zdaje się że droga ta z południowego Marokko do Timbuktu jest bezpieczniejsza niż ta; którą przebył Barth idąc z Tripoli do Kuka a następnie przez Sudan. Po sześciu dniach podróży na wielbłądach przybył Mordochai do Tindufu, ważnéj stacyi zbornéj dla karawan, założonéj dopiero w roku 1852. Karawany zmierzające do Timbuktu wychodzą ztąd we wrześniu, a stają na miejscu w kwietniu. Karawana Mordochaja po dziesięciu dniach podróży przez Saharę stanęła w okolicy czerwonych pagórków piasczystych (Igidi), ciągnących się od oceanu atlantyckiego do Sahary algierskiéj, w szerokości, do przebycia któréj potrzeba trzech dni. Znajdują się tu palmy daktylowe, a woda jest na 3 do 6 stóp pod powierzchnią ziemi. Znowu dziesięć dni iść trzeba puszczą, poczem znowu następują pagórki piasczyste, dla się jednak uczuć brak wody. Następnie idzie się siedm dni do wyżyny Sefya, okrytéj tu i owdzie zielonemi kamieniami, twardemi jak marmur. Po trzech dniach podróży przybywa się z Sefya do Telyg, gdzie jest 140 studzien, a za pół dnia do kopalni soli w Taudeni, gdzie widać wiele dawnych, opuszczonych budowli.

Teraz następuje niezmierna, głucha pustynia w któréj nadaremnie szukałbyś najmniejszego kamyczka, a do przebycia któréj potrzeba dni dwunastu. W Arauan kończą się dolegliwości téj podróży, ale tu jest siedlisko rozbójników arabskich, których szeik niegodziwie obszedł się z Mardochajem, tak bliskim już celu i trzymał go rok cały w niewoli. Szczęściem pieniędzmi wszystko da się tutaj zrobić. Mardochaj wykupił się i przybył nareszcie w r. 1859 do Timbuktu. Droga z Araun trwa jeszcze dni pięć cała podróż więc zajmuje 57 dni, można jednak przebyć ją w 23, jeżeli niema się ze sobą towarów i jeźli rozbójnicy nie zatrzymują.

Chwiejny stan rzeczy, częste zmiany s osunków politycznych w Timbuktu, wszystko to wywierało oczywiście przeważny wpływ na Mardochaja i jego interesa handlowe. Zaraz z początku dostał się do więzienia, uwolniony jednak, tak się wzbogacił wkrótce, że już w r. 1863 mógł powrócić do miejsca rodzinnego i ztamtąd wybrać się ponownie do Timbuktu z towarami na 28 wielbłądach. Powtórzyło się to kilkakrotnie. Mardochaj sprzedawał ze znacznym zyskiem towary z głębi Afryki do Marokko przywiezione, poczem jeździł aż do Wenecji po paciorki szklanne, ważny w Afryce artykuł handlowy. Żyd ten zawiązał więc handel bezpośredni między Timbuktu a miastami włoskiemi. Szczęśliwe spekulacje, znaczne zyski na kości słoniowéj, piórach strusich, i t. d. wzbogaciły Mardochaja, w końcu jednak doznał bardzo smutnego, niczem niezasłużonego losu. Wszystkie jego karawany wpadły w ręce rozbójników, utracił całe swoje, tak ciężko zapracowane mienie i z niczem powrócił do Akki. Żydzi marokkańscy, którzy towarzyszyli mu w podróżach i brali udział w jego spekulacjach, założyli w Timbuktu osadę. I Mardochaj zamierzał tam powrócić, a podróżnikom europejskim wybierającym się do Timbuktu obiecywał gościnne przyjęcie. Być może, że ta kolonia żydowska odda kiedyś wielkie usługi umiejętności. Bądź co bądź, fakta powyższe są nowem świadectwem, że lud wybrany pójdzie chętnie choćby na koniec świata, jeżeli tylko będzie tam sposobność handlowania z jakim takim zyskiem.

Z północnego wschodu wielkiéj pustyni afrykańskiéj Gerhard Rohlfs podaje bliższe szczegóły o *obniżeniu ziemi* tak wielkiem, że podobnego nie postrzeżono dotąd na naszym planecie. Okrąg depresji rozciąga się od wschodu ku zachodowi przeszło na dziesięć stopni geograficznych. Zaczyna się na zachodzie, w kierunku południowym Cyrenaiki, niedaleko brzegów morza Śródziemnego, które tworzy na północnem wybrzeżu afrykańskiem wielką syrtę czyli szeroką zatokę, jak wiadomo, tak niebezpieczną dla żeglugi, z powodu swéj niezmiernéj płytkości. (d. n.)

Do dzisiejszego numeru dołącza się dodatek z drzeworytami i **Spis** przedmiotów zawartych w Tygodniku Mód za r. **1871**.

Druk. K. Kowalewskiego (ul. Królewska N.1066*k*) Дозволено Цензурою. Redaktor i Wydawca J. K. Gregorowicz.

Dodatek.

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód N. 52. 1871 r.

WIELKI NIEZNAJOMY.

OBRAZY NASZYCH CZASÓW

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego,

w Dwóch Tomach.

(Dalszy ciąg).

— Elwirko moja, cóż ty mi nic nie masz do powiedzenia?

— Ja? mamie? jakto?

— Jam się spodziewała troszkę. Wyznaj mi, jak że ci się p. Grejfer podoba? hę? Nie chcę taić: Jaworkowska go bardzo popiera. mnie dosyć się wydaje dobrze, a tobie..

Elwira pomilczała chwilę.

— Mama mnie w trudném stawia położeniu, z góry zapowiadając, że go widzi tak dobrem okiem.. a ja..

— Cóż możesz mieć przeciwko niemu?

— Nic w świecie, tylko że podobać mi się nie umiał. a na to nie ma sposobu. Na salonowego człowieka ma świetne przymioty, prezentuje się dobrze, może być nawet bardzo zacny i mieć za sobą wiele a wiele. mimo to — cóż ja poradzę, że go nie lubię...

— Ale dla czegoż? powierzchowność?

— A, nie! Więc, mów mi otwarcie.

Elwira ze spuszczoną głową przeszła się po pokoju, jak gdyby myśli zbierała.

— Czyni mi wrażenie istoty sztucznéj, bardzo dobrze do swéj roli wyrobionéj a z gruntu fałszywéj i bez serca. Odegrać potrafi, co zechce a czem jest w istocie nie wiem. W świecie zaś tacy ludzie zagadkowi i łatwi do zastosowania się w potrzebie ku wszystkiemu i wszystkim są. najniebezpieczniejsi.

Ruszyła ramionami stara Domska.

— Ale bo wy dziś jesteście istoty przemądrzałe, dziwaczące, pragnące od świata i ludzi niewiedzieć czego.. Nie rozumiem cię.

— Moja mamo, rzekła Elwira całując ją w rękę, mamy z sobą umowę dawną, któréj artykuły przypomnieć muszę. Dałam słowo, że nie wyjdę za mąż bez zezwolenia mamy, a mam słowo, iż mnie mama przeciw méj woli zmuszać nie będzie.

— Któż cię zmuszać myśli?

— Ani namawiać nawet! dodała Elwira..

— Przecież jako matka radę ci dać mogę, a jeśli chcesz wiedzieć wszystko to ci powiem, co mi Jaworkowska na ucho szepnęła. On wie, kto my jesteśmy, i że ja mam magazyn. Bywał w Berlinie, całą moją historję zna doskonale. Jeśli pomimo to, stara się, kocha spada mi wielki ciężar z głowy. Przy jego stosunkach wszystko się naprawić może. Magazyn zbędziemy, a ty powrócisz do swéj sfery, dla któréj stworzoną jesteś i wychowaną..

Otarła łzę mimowolną pani Domska i spojrzała na córkę. Elwira stała przed nią, nie okazując, aby ją ta wiadomość poruszyła.

— W istocie oszczędziło by to mamie chwilowéj przykrości, rzekła — uspokoiło by ją. Przemawia to za nim, że nie ma przesądu, ale się lękam czy nie goni tylko za pieniędzmi. Zresztą, kochana mamo, zostawmy to czasowi. Ja powtarzam, że nie tylko nie czuję dlań najmniejszéj sympatji, ale mam pewien wstręt do niego. Zbyt jest słodki, potulny, grzeczny i nadskakujący.

Matka westchnęła, rozmowa się skończyła. i panie rozeszły. Grejfer który przeczuwał i lękał się instynktowo rywala w Pilawskim, a z częstych o nim wspomnień panny i dawanych mu pochwał podejrzewał ją o skłonnostkę do niego, starał się tem pospieszniéj korzystać z jego niebytności. Z rozmów umiejętnie wyczerpnąć to potrafił od matki, iż o jego położeniu towarzyskiem nic nie wiedziały.

Począł tedy od obracania w śmiech domysłów pana Surwińskiego o arystokratycznem pochodzeniu, potem mówił o różnych wypadkach śmiałych oszukaństw i odegrywanych rolach fałszywych książąt i hrabiów przez awanturników.

Trudności, jakie spotykał, rozgorączkowywały Grejfera, gniewało go szczególniéj to, że panna niczem się nie dała przełamać w zimnym oporze. Męcząc się nad wynalezieniem środków, wpadł w końcu pan Stanisław na najnieszczęśliwszy. Nie zbywało mu na imaginacji, a sumienie grzeczne podejmowało się wiele rzeczy uniewinnić. Z niem w różne nawykł był wchodzić kompromisa. Pomyślał więc sobie, że nikomu by to nie zaszkodziło, gdyby jaką historyjkę na tego Pilawskiego wykomponować. Naprzód pozostałaby tajemnicą i służyłaby tylko do rozczarowania panny. a że Pilawski miał sobie wrócić pewnie zkąd przybył.. historja ta wcale by go nie dotknęła..

Szło o zręczne ułożenie powieści którą jednego wieczora chodząc po pokoju osnuł sobie ze wszystkiemi szczegółami Grejfer. Jeśli panna ma jaką myśl. jaką skłonność. to ją niezawodnie odstręczy. trzeba tylko, mówił sobie w duchu, ażeby to miało fizjonomję rzeczy prawdziwéj, aby w tem nie było czuć zmyślenia.

Nad nadaniem tego charakteru prawdy swojemu utworowi, pracował Grejfer dłużéj niż nad pomysłem samym. Drugiego dnia wszystko było gotowem..

Z doskonale odegranem poruszeniem, wzburzeniem. z ożywioną twarzą przyszedł autor do pani Jaworkowskiéj. Jakkolwiek prostoduszna kobieci na, poznała w gościu stan jakiś niezwyczajny.

— Co to panu jest?

— A! nic! nic!

— Ale przecież.

— Nic zajmującego doprawdy.

— Nie mógł, ażbym wiedzieć.

Grejfer się zawahał. Widzi pani, rzekł nie cierpię plotek, a tem bardziéj takich, które komuś szkodzić mogą.

Nic nie ma niebezpieczniejszego nad podrażnienie kobiecéj ciekawości. Pani Jaworkowska chwyciła się go zaklinając, ażeby jéj tylko o tem powiedział. Wymógł słowo, że oprócz pani Domskiéj nikt wiedzieć nie będzie. Zaręczyła najuroczyściéj.

— Widzi pani, dodał zaraz — z takiemi rzeczami potrzeba być ostrożnie, grozi to zawsze co najmniéj pojedynkiem. gdyby się przeze mnie rozgłosić miało. Po tym wstępie, odebrawszy przyrzeczenie najuroczystsze, pan Stanisław rzekł po cichu: Mam z Warszawy list i dokładną wiadomość o tym Pilawskim, którego tu za coś wielkiego mają.

— Zmiłuj się, jakąż?

— Człowiek niewiadomego pochodzenia, a z profesji szuler, ogrywa młodzież, awanturnik, najgorszego w świecie prowadzenia. Po jarmarkach jezdzi, znany z tego dobrze. W Warszawie nikt mu ręki nie podaje. Ale że tacy ludzie gładcy, są i umieją rolę odegrywać, jaką zechcą, tu, udaje bogacza i bałamuci uczonością. Prosty szuler. Drudzy mówią, że za lokaja gdzieś służył..

P. Jaworkowska załamała ręce i nie miała nic pilniejszego nad pospieszenie do Domskiéj. Zastała ją z córką, i słowo w słowo powtórzyła im, co słyszała.

Spojrzenie na Elwirę, któréj krew trysnęła na twarz, przestraszyło przyjaciółkę, lecz dowiodło zarazem, że lekarstwo przychodziło w porę. Domska zakryła oczy. córka nie odezwała się zrazu. Przyszły jéj na myśl słowa Pilawskiego przy rozstaniu dwuznaczne, dziwne, które nie potwierdzały wprawdzie plotki, ale dozwalały sądzić, że coś w niéj było usprawiedliwiającego tę potwarz. może sama do gry namiętność. Zarumieniwszy się, Elwira, pobladła mocno, wysłuchała milcząc opowiadania, poszła do swojego pokoju i tam padła na sofkę, prawie bezprzytomna. Charaktery takie jak Elwiry, pełne energii w sobie zamkniętéj, odczuwają wszystko z tąż samą siłą, z jaką kochać i kierować sobą umieją. Na biednéj zakochanéj, marzącéj o szczęściu, wiadomość ta piorunowe uczyniła wrażenie. Wieczorem nie mówiąc nic matce ani z matką o bólu, jakiego doznała Elwira uczuła się chorą, a nazajutrz potrzeba było wezwać lekarza. Słabość naturalnie przypisano zaziębieniu, słocie, wilgoci i wszystkim przyczynom, które z nią najmniejszego nie miały związku. Pani Domska niespokojna rozchorowała się sama, a więcéj obawiając o córkę niż o siebie, zaprzysięgła, że jak tylko Elwira cokolwiek wyzdrowieje, wyjadą natychmiast z powrotem do domu. Zręczny potwarca oszukał się w swéj rachubie, gdyż dom zamknięto zupełnie gościom, i choć dwa razy na dzień przysyłał z biletami, dowiadując się o zdrowie, choć i pani Jaworkowska pragnęła mu wyrobić pozwolenie służenia. podziękowano tylko i drzwi pozostały zamknięte. Sprawa więc zamiast się polepszyć, popsuła. Pan Stanisław na wszelki wypadek obiecywał sobie, jeśliby Domska wyjechała, jak skoro pokój będzie zawarty, ruszyć za nią do Berlina.

Wśród gorączki, którą przez dwa dni cierpiała Elwira, jeden wyraz tylko wracał jéj nieustannie na usta: To potwarz, kłamstwo, to być nie może. Greifer użył tego nikczemnego środka, aby się od współzawodnika, którego przeczuwał, uwolnić. Jestem pewna. widzę to czuję...

Nieszczęsne tylko słowa przy pożegnaniu wymówione, nadawały jakieś prawdopodobieństwo wymysłowi. Elwira trzeciego dnia wstała z łóżka, ale doktór parę dni jeszcze zatrzymać się kazał. Wszystko gotowem było do drogi.

W Nowo-targskiéj dolinie wędrowcy do Tatr ujrzeli je po raz pierwszy w całym majestacie. Był to piękny wieczór letni, ale słońce zachodziło jaskrawo, nad łańcuchem zębatych szczytów plątały się jakby opary szare, sine i białe, odsłaniając je i zakrywając, niekiedy czerniały i stygły góry cieniem oblane, a obok wierzby złociły się i rubinowem światłem gorzały. Była chwila, gdy gdzieś ku Węgrom wszy-

stkie obłoki pognały, panorama gór odkryła się szeroko, i szczyty gorzały, pałały, świeciły jak stosy ofiarne. Już na przeciwnéj stronie słońce znikło, cały krajobraz utonął w szarych mrokach, a Tatrzańskie czoła wciąż jeszcze jakby bengalskim ogniem kraśniały. Potem z rubinu tony przechodzić zaczęły w ametysty, i siną powlokły się żałobą. Gdzieniegdzie, jak niedogasły węgiel, płonął wyższy wierzch ostry — i w oczach nagle zagasał. Dosyś jednak mieli czasu podróżni, stanąwszy wśród doliny w milczeniu uroczystem jak modlitwa, przypatrzeć się temu jedynemu widokowi. Zdawało się, że góry na ich powitanie oblokły te szaty z purpury i złota, i uśmiechnęły się im zapraszająco. Anglik stał wpatrzony ciekawie, uważnie, długo nieruchomy, w myśli zapewne porównywając krajobraz ten z widzianemi gdzieindziéj alpami w blaskach wieczora. Odwrócił się potem do hrabiny, która z załamanemi rękami siedziała przejęta tym majestatem natury, i rzekł powoli:

— *Splendid!* Dramat wieczora się skończył, sina zasłona zapadła, łańcuch gór okrył się znowu tumanami mgieł szarych, illuminacja zagasła.

— A cóż to za widok przepyszny! zawołała w uniesieniu hrabina, powiedz pan, widziałżeś co na świecie równego? tak, ja sądzę, nasze tylko Tatry świecić umieją.

Anglik się uśmiechnął. Niestety, pani — odpowiedział — palą się podobnie i inne gór łańcuchy, gdy potem ma długi deszcz nastąpić. Nie znam warunków tutejszego klimatu, lecz prawie mógłbym zaręczyć, że jutro nas deszczyk powita i będzie naszéj cierpliwości próbował.

P. Palczewska, która była pewną, że jéj natura tak dobrze jak ludzie słuchać powinna, z oburzeniem ruszyła ramionami.

— To nie może być, kiedy ja jadę! odpowiedziała dumnie. — Ja, jak Napoleon, wierzę w moją gwiazdę, a wiara, może wiele.

— Wszystko nawet, prócz odwrócenia chmur i zaklęcia deszczu, dodał Anglik.

— Dla czegoż by nie miała władzy nad żywiołami? poczęła pani Emilia.

Rozmowa doszedłszy tego kresu, nie poszła daléj, lecz anglik, który się zupełnie w przeciągu dwudziestu czterech godzin dał przyswoić i uległ urokowi hrabiny, pozostał z oczyma w nią wlepionemi. — Pani jesteś stworzoną na turystkę, dodał po długiéj pauzie — a przyznaję, że nie wyobrażam sobie nic milszego w świecie nad podróż w jéj towarzystwie. Miło jest patrzeć na tę świeżość wrażeń i widzieć tę nieprzełamaną wiarę i energję. Z panią pojechałbym choć do Chin.

— A pan nie byłeś w Chinach? zapytała hrabina z uśmieszkiem. — Nie — dotąd mi się wybrać jakoś było trudno, lecz nie rozpaczam, żebym tego marzenia nie doprowadził do skutku. Ten strupieszały i skarlały światek, który cywilizację zaczynał, gdy u nas jeszcze dzikie zwierzęta po lasach mieszkały, bardzo mnie pociąga.

— Porcelany, bronzy i laki, to także *great atraction!* rozśmiała się pani Emilja.

Tak żartując i dowcipkując dojechali do Nowego Targu, który sirowi William wydał się podobny do jakiejś osady w Indjach Wschodnich. Najlepsza i jedyna gospoda, zdziwiła go prostotą swoją; szczęściem hrabiny, powóz i furgon był niewyczerpaną spiżarnią, a anglik obchodził się łatwo suchym chlebem, jajkiem i kawałkiem czekolady. Jadł, gdy było można z apetytem syna wielkiéj Brytanji, wychowanego na krwawych befsztykach, ale gdy nic dostać nie było można, nie narzekając, suchy chleb rozmaczany w wodzie lub w mleku spożywał jak najlepszą w świecie potrawę. Zresztą mieli na pociechę herbatę i rozmowę. Hrabina od spotkania z anglikiem odzyskała swobodę i humor swój dawny — nowy ten przybysz odciągnął ją zupełnie od Pilawskiego, który nie łaskę znosił z poddaniem się stoickiem woli pięknéj bogini. Hrabina szukała niekiedy na jego twarzy śladów złego humoru i znaleść ich nie mogła... co ją nieco gniewało.. Osądziła go więc jako zimny kamień, którego nic rozgrzać nie potrafi — nad czem wzdychała z początku, bo się jéj szczerze bardzo podobał. lecz prawie równie miłym a daleko oryginalniejszym był anglik. Złapać sobie takiego Williama, było zdobyczą znakomitą. Myśl ta bardzo się hrabinie uśmiechała, świeżo jednak doznawszy porażki niewiele miała nadziei, ażeby wyspiarza oczarowała. Smutne myśli plątały się jéj po głowie. Starzeję widocznie, mówiła w duchu — dawniéj by mi się nikt nie oparł, gdybym w istocie tego pragnęła.. teraz.. napróżno oczyma im błyszczę i dowcipem..

Rozpacz ta nie przeszkadzała pilno zabiegać około sir Williama, który nad wszelkie spodziewanie dawał się tak prostodusznie brać, że już na noclegu w Nowym Targu, na zażądanie hrabiny, przyrzekł jéj towarzyszéć do Krynicy, a nawet odwiedzić ją w jéj Castelu. Zyskując na czasie, pani Palczewska mogła mieć wielkie na przyszłość nadzieje: była to jedna z tych kobiet o niewyczerpanie różnych fizjognomjach, które zyskują na bliższem poznaniu i przywiązują, ukazując się z lepszéj strony późniéj niż z początku. Na pierwszy rzut oka wziąć ją było łatwo za płochą i lekkomyślną, głębiéj się dopiero wpatrując, pod tą powierzchnością zalotną, fantastyczną, odkryć było można charakter energiczny, prawy i serce najlepsze. Miała słabostki, ale wad nie miała, a ile razy zbłądziła, usiłowała to naprawić, choćby największym kosztem — miłości własnéj i ofiarą upokorzenia. Cóż temu była winną, że się tak okrutnie nudziła..

Anglik spadł prawdziwie z nieba, i dla Alberta, który był całkiem swobodny, i dla Pilawskiego, który służbę pełnić przestał. Daleko doświadczeńszy w podróży sir William, zajmował się wszystkiem i tak naturalnie przyszedł do komenderowania obozem, jakby mu to dowództwo przeznaczonem było. Hrabina bawiła się nim, a słuchając go z zajęciem, podbudzała do nieskończonych opowiadań. Reszta towarzystwa albo słuchała w milczeniu, albo nawet rozchodziła się swobodnie, tak że hrabina, drzemiąca panna Salomea i anglik najczęściéj siedzieli sami. Z wypadków podróżnych przechodzono łatwo do ogólnych rozpraw o świecie, ludzkich sercach, uczuciach i t. p. a sir Wiliam i o tem umiał mówić z powagą i chłodem, choć nie bez dowcipu. P. Palczewska zgadzała się z nim na wiele zdań. Byli więc w najlepszéj co się zowie przyjaźni.

Przesiedziano tak i w Nowym Targu dosyć długo przy ostygłéj herbacie, i gdy się rozeszli, hrabina westchnęła rozbierając się. Szkoda mi będzie tego anglika, gdzieś to w świat poleci i wspomnienie tylko zostanie!

Rano wózki i powóz były gotowe, anglik z uśmiechem przypadł oznajmić, że maleńki deszczyk kropić zaczynał, ale jest nadzieja, iż zbliżając się do Tatrów, zmieni się na dobrą ulewę. Hrabina zaręczała za pogodę — ruszono. W istocie turysta zgadł, w Szaflarach już powiększył się deszcz, a w Poroninie lało co się zowie. Tatrów wcale już widać nie było. Podtatrzański kraj ubogi, dosyć pusty, ze swemi drogami kamienistemi, strumieniami, chatami biednemi i wegetacją coraz mniéj bujną, smutno wyglądał za zasłoną gęstéj ulewy. Hrabina uznała się zwyciężoną, utrzymując wszakże, iż deszcz ten nie długo potrwa, a na jutro z Zakopanego przedsięwziąć będzie można wyprawę. Sir William głową potrząsał, barometr jego kieszonkowy spadał, wszystkie znaki były na słotę. To gorzéj — dodał, iż co deszczem spada w dolinach, na szczytach może spaść śniegiem, i góry staną się jeśli nie niedostępnemi, to przynajmniéj trudnemi do zdobycia.

Zakrzyczano go, że pessymista i że około dziesiątego sierpnia śnieg się tu nigdy prawie nie okazuje, anglik zamilkł. Słota przeprowadziła do Zakopanego, gdzie dla mężczyzn zajęto jedną chatę, drugą dla hrabiny i jéj dworu. Salon urządzony był przy apartamencie pani, która wieśniaczem wnętrznem tych izb, z miskami na półkach i obrazami na ścianach, nacieszyć się nie mogła. Przybywszy bardzo zawczasu, można się było i urządzić i wypocząć, i skromny obiad obmyśleć, i nagadać do wieczora, bo deszcz ani obiecywał się zmniejszyć. W górach mgły i ulewy były okrutne, Giwont zakryty. Wezwani przewodnicy, doświadczony Wala i Sieczka, nie odbierali nadziei podróżnym o jutrzejszéj pogodzie, ale też wcale jéj przyrzekać nie śmieli.

W niedostatku przewodnika do Tatrów, anglik miał z sobą mnóstwo książek, kart i dzieł pomocniczych, wszystko to przyniesiono dla zabawy. Pilawski dobył album i rysował. Albert nudził się i ziewał, wcale z tem nie kryjąc — hrabina z Williamem studjowała gorąco książki, plany, i rozmowa szła im bez znużenia, do późnéj nocy, tak, że kuzyn Albert musiał, niegrzecznie dobywając zegarka, ostrzedz, iż czas by się położyć.

Na dworze słychać było jednostajny szmer strumieni deszczu spadającego po dachach... Nazajutrz rano pierwsze wejrzenie przebudzonych podróżnych było w małe okienko... ulewa zwiększyła się jeszcze, w podwórku chaty stało jeziorko, gościniec stał się strumieniem, gór nie widać było ani cienia, przewodnicy powiadali, że może się wyjaśnić, ale może się i — nie wyjaśnić. Hrabina śmiała się z tego prześladowania losu. Anglik znosił go cierpliwie i nie bardzo się mógł skarżyć, mając tak miłe towarzystwo prawie dla siebie wyłącznie, gdyż hrabina jawnie zaniedbywała resztę towarzyszów dla cudzoziemca. W tłomoczku Williama znalazły się szachy podróżne, Albert i Gabrjel, przypominając sobie czasy uniwersyteckie, siedli do gry. Wspaniały obiad, do którego utworzenia brakło wykwintniejszego materjału, składał się z misy kurcząt, misy grzybów, misy poziomek i kawy, — był doskonały i zszedł wesoło. Ku wieczorowi deszcz zmienił się wprawdzie na bardzo drobny kapuśniaczek, ale tak gęsty, że o kilka kroków nie widać było świata. Sprowadzono Walę, aby prorokował na jutro; sparty na kiju stary góral z miną tajemniczą cieszył podróżnych, iż bardzo się jeszcze wyjaśnić może, wszakże zaręczyć za fantazję tatrzańskich obłoków niepodobna. Na noc ulewa zwiększyła się znowu. Hrabina śmiała się, ale niespokojnie dopytywała na jak długo zapasy wystarczą. Musiała też myśléć, na jak długo cierpliwości stanie. Anglik się uśmiechał, było mu dobrze, całemi godzinami szeptał z piękną gosposią. Przyszło już do tego, że opowiadał jéj swą młodość, życie, wychowanie i spowiadał się z najskrytszych uczuć.

Zaświtał ranek, mgły stały na górach, deszczyk rosił, zdało się wszakże, iż zajdzie jakaś zmiana, bo jednostajna opona szara na niebie i szczytach, zaczęła ściągać się w kłęby, przybierać kształty jakieś, zwlekać rozrzucone szmaty, jak gdyby z wiatrem odlecieć miała. Giwont zamajaczał zdala, i choć go zakrywały chmury, pokazywał się ze swemi ciemnemi reglami u spodu, jako obietnica lepszych godzin.

Wala, ostrożny i polityk, nie chciał się zaręczeniem kompromitować, lecz zdawał się pewny, iż po obiedzie zaświeci upragnione słońce i choć przejażdżkę do Kościeliskiéj doliny odbyć będzie można. Wielka radość i pospiech.. zamówiono wózki, zgodzono przewodników, anglik wyszedł na zwiady i wrócił z dobrą otuchą.. Jakoż co chwila zaczynało być jaśniéj w górach. Giwont odsłonięty cały, dymił tylko szczytami.. na dalszych, wedle przepowiedni Williama, dostrzedz było można leżący całun śniegowy..

Na prędce podano śniadanie; pierwszy promyk słońca przebijający chmury wywołał okrzyk radośny jedziemy.. Wózki już stały.. Droga która wczoraj płynęła strumieniem, była prawie oschła, potoki pozbiegały w doliny.. Z wesołem usposobieniem siedli goście na niewygodne wózki górali i wyruszono ku Kościeliskom..

Któż nie zna choć z imienia téj ślicznéj doliny, wjazdu do niéj, gór, które ją otaczają, widoków na Polany, na Pylzny, fantastycznych głazów sterczących wśród ciemnéj zieleni jodłowych lasów i uroczéj ciszy tego kąta zasianego czerwonawemi kamienami po deszczu rozsiewającemi woń jakby rozkwitłych fijołków.. Anglik nawet, wchodząc Bramką, przyznał że dolina była bardzo piękną i miała swą radośną fizionomję. Hrabina nazbierała kamieni, które chciała wieść na pamiątkę.. Towarzystwo całe, pieszo, po wodzie i błocie, zachwycając się widokami, które zachodzące słońce cudnie ozłacało, posunęło się aż za Pisaną i jak najdaléj było można. Wózki zostawiono przy ruinach Łowczéj chaty i zajazdu.. Anglik wszakże, oddając sprawiedliwość dolinie, łaknął szczytów, chciał się piąć wyżéj i z góry poglądać na grzbiety Alp tutejszych. Przechadzka trwała prawie do mroku i wynagrodziła sowicie nu[illegible] oczekiwania. Następnego dnia, wyprawa do Morskiego Oka całe towarzystwo jeszcze zajęła.. lecz już wracając z niéj hrabina znajdowała, że ma dosyć Tatrów i że bardzoby do Krynicy powrócić sobie życzyła.. William ofiarował się wprawdzie towarzyszyć choćiażby jutro, prosił jednak czyby mu parę dni nie [illegible]o urlopu, dla widzenia czegoś więcéj. Pilawski gotów był z nim pozostać.

— Zgodziłabym się na to z ochotą — odrzekła hrabina — lecz jakąż mam rękojmię, że mi pan słowa dotrzymasz, że zechcesz potem po złych drogach dobijać się do smętnéj Krynicy?

— Moje słowo — rzekł anglik — nigdym go w życiu nigdy nie złamał, słowo szlachcica angielskiego.

— A ponieważ pan Pilawski zostaje, wkłada się nań obowiązek odprowadzenia aresztanta.. na miejsce..

Albert jechał z kuzynką i nieskończenie był rad, że się tak małym kosztem obeszła podróż do Tatrów. Mógł bowiem mówić, że w nich był, a zbytecznie się nie zamęczył i dosyć wygodnie powracał. Praktyczny człek był już nawet w lepszym humorze, gdyż biesiady w Zakopanem z kurcząt, jaj, grzybów i poziomek złożone, zaczynały mu ciężyć. Wzdychał, jak powiadał, do cywilizowanego życia warunków; hrabina także, choć się nie przyznawała do tego i składała odwrót przyśpieszony na obawę śniegu w górach.

Gdy powóz pani Emilji ukazał się około Warszawskiego Hotelu w popołudniowéj godzinie przechadzki, wśród snujących się gości — cała Krynica poruszyła się, zadrgała i wieść o powrocie zelektryzowała dosyć znudzonych pacjentów.. W tryumfalnym pochodzie przeprowadzono ją do domku, do którego już z rana poprzedziła ją bryka i kamerdyner.. Tu wszystko było gotowe, aż do bukietów na stole..

— Ah — zawołała padając na kanapę znużona — niewymownie jestem szczęśliwa, że nareszcie do portu przybiłam..

Podróże są bardzo zajmujące, gdy je Dumas dowcipnie opisuje, deszcz nawet bawi, gdy on mu się dziwuje w Monaco, mówiąc, iż nigdy się spodziewał, aby w tak małem księztwie tak wielki deszcz mógł padać, ale, odbywać podróż w kraju naszym i z naszemi gospodami, po naszych drogach.. panowie, na to trzeba heroizmu, lub angielskiéj ekscentryczności.. Drugi raz, mogę zaręczyć, że nie pojadę do Tatrów.

Greifer, który był wszedł powitać ją z innymi, nie widząc Pilawskiego, nie słysząc o nim, odważył się zapytać — co się z przewodnikiem stało.

— Cała historja — odpowiedziała hrabina. — Naprzód zawiodłam się na nim, bo był nudny i smutny, powtóre, spotkaliśmy w Szczawnicy bardzo zajmującego młodego turystę Anglika.. Pilawski z nim został.. anatomizują razem Tatry i napawają się wonią fijołkowych kamieni.. poczem oba tu wrócą. A propos! — zerwała się hrabina — gdzie są moje fijołki panno Salomeo? Jeśli ich zapomniano, jutro jedziesz po nie..

— Zaprosiłam — dodała — anglika do Krynicy. Anglik jest znakomitym egzemplarzem! Miły, uczony, towarzyski, młody, przystojny i tylko jeszcze w Chinach nie był; zresztą wszędzie, gdzie ludzie chodzą. Zdaje mi się, że nawet w Australji. Miarkujecie panowie, że trzeba wystąpić, by Anglik ztąd nie wyniósł nazbyt złéj opinji o kraju..

— Czy szlachcic? — zapytał hrabia Żelazowski.

— Ojciec baronet, familja stara.. znakomita, bogata.

— Czy sportsman? — dodał tenże.

— Ale któryż Anglik nim nie jest?

— Żeby był przyjechał na nasze wyścigi — mruknął hrabia — moglibyśmy się popisać przynajmniéj końmi Dzieduszyckiego i Tarnowskich.. a tak..

— A po cóż on tu? — szepnął Grejfer, który znać przybyszowi i jego przewodnikowi niezbyt był rad.

— To mój gość — odparła hrabina — przyjeżdża do mnie.. Męzkie towarzystwo, niechcąc być natrętnem, rozeszło się wkrótce, ale też zaraz zmęczona nadeszła pospiesznie Ormowska z Lucią, Musią i Hercegowiną, która dla prędszego usłyszenia coś o podróży, przyczepiła się do baronowéj.

— Jakże ci się podróżowało? Kontenta jesteś? — zapytała Ormowska..

— Deszcz o mało mnie nie zalał, siedziałam, na próg nie mogąc wyjść, w chłopskiéj chacie dwa dnie, zamoczyłam nogi, dostałem kataru i napytałam sobie adoratora w drodze..

— O to ci nie trudno! — roześmiała się Ormowska.

— Ale jaki, jaki! — poczęła wesoło pani Palczewska — najprzód Anglik — inny gatunek człowieka, daleko zabawniejszy od naszych i wiele więcéj umie od nich..

Młody, przystojny.. miły — zobaczycie.

— I przyjeżdza tu dla ciebie!

— Wyłącznie dla mnie — dodała hrabina. — Pilawskiego zostawiłam tam na straży, on go przywiezie.

Przy wymówieniu tego imienia, Hercegowina wysunęła głowę, oczy otwarła szeroko, złośliwy uśmiech skrzywił jéj usta — cała twarz zdawała się mówić hrabinie, że o tym panu się coś wie... Odchrząknęła..

— Ah, ten Pilawski! — szepnęła..

— A cóż, co? — rzuciła hrabina. — Co Pilawski...

— Nic — nic.

— Ah, plotki, plotki — zagadała baronowa — ludzka złość. Niewiedzieć zkąd to wyszło, bałamuctwa!

— Przepraszam panią baronowę, bardzo przepraszam — zaczęła pobożna jejmość — wyszło to z poważnego zródła.. Wiem, choć nie mogę wymienić, i wiadomość jest autentyczna..

— Jakaż? jaka? — ciekawie podchwyciła p. Palczewska..

— Bo, widzi hrabina — poczęła szybko Hercegowina, ażeby się nie dać uprzedzić — ja od razu przeczuwałam, że coś podobnego się odkryje. Pan Surwiński dziwaczył.. plótł trzy po trzy...

— A cóż wiecie o nim? co? mówże pani..

— Z najlepszego źródła z Warszawy wiadomo, tam go wszyscy znają... szuler z profesyi.. szuler.. nic więcej.. syn lokaja, który służył u Zamojskich...

Hrabina słuchała zrazu bardzo serjo, potem nagle zaczęła się śmiać, ale śmiać tak okrutnie, że się na kanapie położyła, trzymając za boki.

Hercegowina zaczerwieniła się obrażona.

— Cóż w tem śmiesznego? co śmiesznego?. Chyba to, że tu u nas wszyscy go jak gagatka psuli i pieścili, nie ujmując pani hrabinéj i mieli go za wielką figurę. A to szuler, a to szuler..

— Ale moja prezesowo — wtrąciła Ormowska jakoś z wymówką — powtarzasz banialuki. Ja mam tę plotkę w podejrzeniu wielkiem, że ją ktoś ukuł, aby mu w pewnem miejscu zaskodzić, ale.. dajmy już pokój.

— Ja milczę — milczę, a czas okaże! — dodała prezesowa.

— A ja nie mogę zmilczeć i domagam się od kochanéj prezesowéj tłumaczenia.. Któż to mógł wymyśleć i dla czego? Ormowska zagadnięta, oczyma dała znać hrabinie, że teraz mówić nie będzie, a późniéj to jéj wytłumaczy. Prezesowa dotknięta opozycją wstała zaraz, i pożegnała hrabinę..

— Przy niéj się mówić boję — rzekła pani Ormowska, gdy odeszła — dobra kobieta, pobożna, ale nie mając co robić, bawi się lada plotki nosząc razem z modlitewkami. W tem wszystkiem coś mi jest podejrzanego. — Nachyliła się do ucha hrabiny. — Pilawski pono bardzo był częstym gościem u pani Domskiéj — bodaj czy tam się z córką nie zawiązał romansik.. niech mnie pan Bóg przebaczy, jeśli go niesłusznie posądzam, ale Greifer sam wprowadzony przez Jaworkowską, a podobno zimno przez pannę przyjmowany, musiał puścić tego bąka..

— To po prostu sensu nie ma — odezwała się hrabina — przypuszczam, że grywać może, ale z gry żyć, ogrywać! Ktokolwiek mu raz w oczy spojrzał, o to by go posądzać nie śmiał. Ja, gdy powróci, powiem mu otwarcie — bo go szacuję, choć nudziarza — a jeśli pan Stanisław przez płochość nowinkę tę rzucił, musi ją albo odwołać, lub...

— Hrabino — Emilko! Droga moja — krzyknęła rzucając się ku niéj Ormowska przerażona — na Boga cię zaklinam, nie mięszaj się do tego. Może być straszliwa awantura.. Pilawski wygląda na drażliwego. Greifer nie ustąpi...

— Bardzo by mi było przykro dać powód do jakiegoś zajścia — ale, baronowo kochana — ja tego człowieka szanuję, jestem mu przyjazną, mam o nim wyobrażenie najlepsze i spełnię obowiązek. Nie godzi się, by potwarz taką rzucono.. splamiono go niewinnie..

— Ah, po cóż ja ci to powiedziałam! zawołała baronowa.

— Jutro bym się była dowiedziała tego od Jaworkowskiéj, która pod sekretem, śmiertelny by grzech zwierzyła, — nie wytrzyma! — roześmiała się

Emilia — zresztą, bądź dobréj myśli — o ile w méj mocy zapobiegnę, aby awantury nie było..

— Cóż się dzieje z Domską i Grejferem? cicho szepnęła po chwili.

— Grejfer się kocha!

— Ah! poczęła śmiać się pani Emilia — Grejfer się kocha ile razy mu tego potrzeba! Nie znam młodego człowieka, któryby doskonaléj umiał odegrać zakochanie, kochanie, zrozpaczenie, i wystygnięcie. W tem jest skończonym artystą. Dwa razy patrzyłam na to produkowanie się i muszę wyznać że jest mistrzowskie. Trzeba go widzieć gdy stanowczy rzut oka zapala w nim uczucie, z którem walczy, które poskramia, które niby ukrywa tak by się stało jak najwydatniejszem. Miłość jego jest w najnowszym stylu, bez staroświeckich westchnień, cała w wejrzeniach, cała w pół słowach. Potem rośnie coraz, staje się widoczniejszą dla świadków, a niezwyciężoną w nieszczęśliwym kochanku. Walczy z nią. Są dnie w których znika, powraca niby zimny i rozpłomienia się na nowo. W rozmowie jego cieniowań pełno, sztuka niezrównana, nie mówi nic a nie powie słowa, żeby w nie jak w bawełnę nie obwinął sentymentu. Potem następuje głęboki smutek, ale błyskami dowcipu dla niepoznaki przerzynany, potem zależy to już od artystki z którą jest na scenie.

Lucia, Musia i pani Ormowska do łez się śmiały słuchając hrabiny, która rzuciła rękawiczkę na stół kończąc i dodała: — fałszowana czekolada, fałszowane perfumy, — fałszowane *poudre de ris* i w końcu miłość — jest to wiek w którym się od fałszowanych rzeczy obronić niepodobna.

Koniec tomu pierwszego.

DOMBEY I SYN

POWIEŚĆ W DWÓCH TOMACH

KAROLA DICKENSA.

(Dalszy ciąg.)

— Proszę mi darować, chciałem tylko powiedzieć, że pan Carker młodszy mówił mi, iż pan podobno ztąd już wyszedłeś. Inaczéj nie byłbym przerywał pańskiéj pracy. Oto są listy do pana Dombeya.

— Dawaj je pan, rzekł Carker, biorąc je a raczéj wyrywając z rąk młodego Gaya: dawaj i wracaj do swojéj roboty.

Biorąc owe listy w sposób tak gwałtowny, Carker upuścił jeden z nich na ziemię, ale tylko Walter to spostrzegł. Widząc po chwili że list leży zapomniany, wrócił odedrzwi, podniósł go i położył na biórku Dombeya. Otóż zdarzyło się iż pismo owo było właśnie tygodniowem sprawozdaniem pani Pipchin o dzieciach; że zaś ta pani nie odznaczała się kalligraficznemi zdolnościami, adres był jak zwykle napisany ręką Florci. Dombey poznawszy jéj pismo, rzucił Walterowi surowe wejrzenie, jak gdyby podejrzywał, że Walter wybrał ów list z umysłu pomiędzy innemi, aby sam mu go oddać.

— Możesz pan odejść, rzekł sucho.

I wzrok jego odprowadził młodzieńca do drzwi z wyrazem pogardliwéj niechęci. Potem zmiął list w ręku i włożył go, nie czytając, do kieszeni. Po chwili milczenia, rzekł z pewną żywością do Carkera:

— Wszakże mówiłeś, że musimy wysłać kogoś w tych czasach do Indyi.

— Tak jest, mówiłem to, powiedział Carker.

— Wyprawmyż więc tam młodego Gaya.

— Zapewne, jest to myśl wyborna, odpowiedział naczelnik wydziału nie okazując żadnego zdziwienia z tak nagłego postanowienia. Nic łatwiejszego jak to uczynić, dodał pisząc coś na odwrotnéj stronie listu donoszącego o śmierci młodego komisanta.

— Zawołaj mi tu znowu Gaya, rzekł Dombey.

Carker sprawił się bardzo prędko i po chwili powrócił z Walterem.

— Słuchajno Gay, rzekł Dombey, zwracając się ku młodzieńcowi tyle tylko aby mógł spojrzeć na niego przez ramię, trafia ci się...

— Sposobność, dokończył Carker, pokazując wszystkie zęby w uprzejmym uśmiechu.

— Sposobność udania się do Indyi Zachodnich, mówił daléj Dombey. Chcę cię wysłać na Barbady, dodał tonem tak swobodnym, jak gdyby chodziło o najzwyczajniejszą przejażdżkę; — zastąpisz tam komisanta, który umarł nie dawno. Trzeba żebyś zawiadomił wuja, że ci przeznaczam tę posadę.

Zdumienie Waltera było tak wielkiém, że zaledwie zdołał wybełkotać:

— Na Barbady.

— Muszę przecież kogoś tam posłać; ty zdrów jesteś i młody — przytem położenie wuja twego wymaga pomocy. Powiedz mu żem cię już stanowczo wybrał na to miejsce; być może wszelako że nie wyjedziesz aż za parę miesięcy.

— Czy mam tam na czas dłuższy pozostać? spytał drżącym głosem Walter.

— Ma się rozumieć, odpowiedział Dombey. Co znaczy to zapytanie? dodał zwracając się bardziéj ku niemu.

— Chciałbym wiedzieć czy mam tam spędzić życie, rzekł z bijącem sercem młodzieniec.

— Nie inaczéj, odrzekł Dombey.

Walter skłonił się w milczeniu.

— To już i wszystko, odezwał się Dombey, zbierając listy leżące na biórku. Carkerze, polecam ci objaśnić Gaya jak się ma wybrać; masz także pilnować, aby się nadto nie ociągał z wyjazdem.

— Słyszysz Gay, rzekł Carker, nie należy nadto się ociągać.

— Chybaby, rzekł Dombey składając list jakiś tylko co przeczytany i nie odwracając od niego oczu, chybaby Gay miał co przeciw téj podróży.

— Nie panie, nie mam nic przeciw temu, odpowiedział młodzieniec oszołomiony nawałem tłoczących się do jego głowy myśli i obrazów, pośród których na pierwszym planie widział wuja rozpaczającego w izdebce zasklepowéj i Kapitana Cuttla w ceratowym kapeluszu rażonego tą wieścią, jak gromem podczas zajścia z wdową Mac-Stinger. Doprawdy, sam nie wiem co powiedzieć... W każdym razie, bardzo panu wdzięczny jestem.

— Uważaj Carkerze, żeby się nadto nie ociągał, rzekł znowu Dombey.

Naczelnik wydziału powtórzył jak echo słowa pryncypała, zbierając swe papiery do odejścia, co widząc Walter zrozumiał że i jemu pora była się oddalić. Gdy szedł kurytarzem, z wrażeniem czło wieka, którego dręczy sen przykry, usłyszał za sobą otwierające się drzwi gabinetu Dombeya, a zaraz potem głos Carkera wołający:

— Panie Gay, proszę cię przyprowadź do mnie zaraz Carkera, kancelistę z kantoru.

Walter wywołał śpiesznie młodszego Carkera z po za forsztowania za którem tenże pracował, i udał się z nim do gabinetu naczelnika wydziału.

Zastali owego dostojnika stojącego przed kominkiem, z rękami założonemi pod poły od fraka i w postawie tak sztywnéj, jak biały krawat który miał na szyi. Powierzchnością przypominał w téj chwili uderzająco Dombeya, i podobieństwo to nic dobrego nie wróżyło. Przyjął wchodzących nie ruszając się z miejsca i z bardzo surowym wyrazem twarzy; dawszy znak Walterowi, aby drzwi za sobą zamknął, zwrócił się ku bratu:

— Powiedz mi Janie Carker, rzekł do niego odsłaniając za otwarciem ust dwa rzędy błyszczących zębów, które zdawały się gotowe go ukąsić, powiedz mi z jakiego powodu spiknęliście się na mnie z tym młodzieńcem, aby mię nieustannie prześladować twem nazwiskiem? Nie jestże tego dosyć dla ciebie że jestem najbliższym twoim krewnym i że niepodobna mi otrząsnąć z siebie...

— Powiedz wyraźnie.. téj hańby, przerwał tamten cichym głosem, widząc brata wahającego się w wyborze słowa. Powiedz to Jerzy, bo tak myślisz i myślisz słusznie w tym względzie.

— A więc tak — téj hańby — powtórzył brat jego z wyrazem twarzy uroczystym. Ale jest że to rzeczą do powtarzania i do wygłaszania co chwila, nawet w obec naczelnika tego domu, wśród poufnéj mojéj z nim narady. Czyliż myślisz, że nazwisko twoje może ci tu zjednać szacunek i zaufanie — powiedz, czy to myślisz Janie Carkerze?

— Nie, odrzekł mu brat, Bóg mi świadkiem, żem nigdy nic podobnego nie pomyślał.

— W takim razie, jakież są twoje zamiary, spytał Carker starszy, dla czegóż wchodzisz mi nieustannie w drogę? Czyż i tak mi już dosyć nie zaszkodziłeś?

— Nie zrobiłem przynajmniéj tego nigdy rozmyślnie, wierzaj mi Jerzy.

— Jesteś moim bratem, rzekł naczelnik, dosyć mi już téj krzywdy.

— Chciałbym nim nie być.

— I ja także pragnąłbym tego gorąco, ale próżne są to życzenia.

W czasie téj rozmowy, Walter przypatrywał się z kolei obu braciom, z wyrazem przykrego zdumienia na twarzy. Starszy z nich wiekiem a młodszy stanowiskiem, stał z głową spuszczoną i z wzrokiem w ziemię utkwionym, słuchając z pokorą dotkliwych wymówek czynionych mu przez brata, i jakkolwiek obecność Waltera czyniła je tembardziéj upokarzającemi, nie umiał na nie odpowiedzieć inaczéj, jak błagalnem podniesieniem ręki, którem zdawał się od czasu do czasu żebrać litości u swego prześladowcy. Człowiek ten przedstawiał w owéj chwili obraz ofiary całkiem już ubezwładnionéj razami kata i pozbawionéj wszelkiéj siły zarówno jak wszelkiéj nadziei ratunku.

Uważając siebie za mimowolny powód tego przykrego zajścia, Walter zapominając na ten raz o własnych troskach, sprobował wdać się pomiędzy braci ze szlachetnym zapałem stanowiącym główną cechę jego natury.

— Panie Carker, rzekł do naczelnika wydziału, ja jeden jestem tu winien. Skutkiem nieuwagi nad którą najmocniéj ubolewam, wtrącałem zbyt często w moje rozmowy nazwisko pana Jana Carkera, chociaż wiedziałem, że się to sprzeciwiało pańskiéj woli. Ale jego winy w tem nie ma, gdyż nigdy z sobą nie rozmawialiśmy o tym przedmiocie, a nawet w ogóle nader mało miewaliśmy z sobą stosunków. Nie pochodziło to z braku chęci z mojéj strony, dodał po chwili; przeciwnie odkąd tu jestem, czułem żywy pociąg do pana Carkera, a lubo często o nim myślałem, rzadko jednak znajdowałem sposobność rozmawiania z nim lub też o nim.

Uniesiony zacnem politowaniem dla nieszczęśliwego, opuszczonego i poniewieranego od wszystkich, Walter znajdował prawdziwą rozkosz w wyznaniu swéj przyjaźni dla niego. Po chwili rzekł znowu, zwracając się do Jana Carkera.

— Co prawda, jeśli ja pana szukałem, toś mię w zamian starannie unikał. Spostrzegłem to wkrótce po mojem wejściu do kantoru nie mało na tem cierpiałem; odtąd czyniłem co mogłem żeby pozyskać pańską przyjaźń, ale daremnie się o nią starałem.

— I będzie to ciągle daremnem, wtrącił starszy Carker, jeśli nie przestaniesz, jak to dotąd czyniłeś, uwydatniać nazwiska pana Jana Carkera. Zapytaj jego samego co o tem myśli.

— W istocie, nie wychodzi mi to bynajmniéj na dobre, rzekł Carker młodszy, bowiem ztąd wynikają rozmowy podobne dzisiejszéj, a Bóg widzi ile radbym nie bywać na nie narażony. Najlepszym moim przyjacielem, dodał wymawiając z naciskiem te wyrazy, jak gdyby chciał je wrażać w pamięć Walterowi, — byłby teni który postarałaby się całkiem o mnie zapomnieć i dałby mi dopełnić mego przeznaczenia, nie pytając nikogo, ani mnie samego o mnie.

— Ponieważ pamięć twoja młodziencze, nie wszystko zwykła przechowywać, rzekł Carker starszy do Waltera z wyraźnem zadowoleniem, zdaje mi się dobrem dla ciebie, żeś te objaśnienia mógł u samego źródła zaczerpnąć.

I wskazując brata lekkiém poruszeniem głowy, dodał:

— Sądzę że na ten raz nie zapomnisz tego coś usłyszał. A teraz, możesz odejść Gay, nie mam ci nic więcéj do powiedzenia.

Walter wyszedł z pokoju i właśnie drzwi za sobą zamykał, kiedy słysząc znowu rozmowę dwóch braci i wymówione w niéj własne nazwisko, zatrzymał się z ręką na klamce, niepewny czy ma pozostać czy też odejść.

Tym sposobem, poniekąd mimowolnie, usłyszał następującą rozmowę:

— Jerzy, miejże trochę litości nademną, mówił Jan Carker, — bądźże względnym choć na ten raz jeden. Gdybyś wiedział co uczułem przed chwilą, gdyś to wszystko wypowiadał w obec Gaya, — gdyś wiedział co wycierpiałem, ja co noszę tak boleśnie wyrytą w duszy całą moją przeszłość!

To mówiąc, uderzył się w piersi z rozpaczą. Po chwili odezwał się znowu:

— Jakże ci opowiem wrażenia jakich doznałem, poznawszy i pokochawszy całą duszą to dziecię, w którem poznawałem dokładnie drugiego siebie!

— Drugiego siebie! powtórzył pogardliwie starszy Carker.

— Tak jest, ale nie siebie takiego jakim dziś jestem, tylko takiego jakim byłem przed laty, kiedym się tu dostał; widziałem Waltera pełnego, jak ja niegdyś, wiary w ludzi i młodocianych złudzeń, bogatego w nadzieje, a w zamian ubogiego w rozwagę i w doświadczenie, i równie gotowego pójść dobrym jak i zgubnym szlakiem.

— Sądzę że potrafi lepiéj wybrać drogę od ciebie wtrącił drugi brat szyderczo.

— Nie znasz litości Jerzy, i ciosy które wymierzasz są równie dotkliwe jak głęboko sięgające, rzekł posępnie Jan Carker. Otóż patrząc na tego młodzieńca, tyle bratniéj ze mną duszy, nieraz doznawałem takich wrażeń, jak gdybym go widział biegającego niedbale i trzpiotowato nad samym brzegiem przepaści dla niego niewidzialnéj, i mówiłem sobie: inni igrali także równie wesoło nad brzegiem otchłani, aż wreszcie....

— W nią runęli — wszakże to chciałeś powiedzieć? przerwał mu brat sucho. Stara wymówka, znane oklepanki, któremi każdy rad się tłumaczyć...

— Aż w nią runęli—powtórzył smutno Jan, nie słysząc ostatnich słów brata—aż w straszliwych głębiach zbudzili ze swéj wesołości. Oto nieraz co myślałem patrząc na tego młodego chłopaka, — wyobraź więc sobie ile wycierpiałem, przewidując niebezpieczeństwa i zasadzki jakie go w życiu czekają.

— Myślałbyś lepiéj o sobie samym, dosyć ci tego będzie.. odpowiedział Carker starszy.

— Masz słuszność Jerzy, rzekł z westchnieniem Jan, — dość mi będzie tego — znam moją winę i nie dzielę się nią z nikim.

— Podzieliłeś się jednak z drugim twą hańbą przecedził brat przez zęby.

— Jerzy, czyż nie dosyć już dawno depczesz po mnie, pnąc się coraz wyżéj? zawołał Jan, tą razą z wyrazem gorzkiego wyrzutu i głosem stłumionym, z którego wnosić można było, że twarz miał rękami zakrytą, — czyż ci się wreszcie nie sprzykrzy nieustannie kopać mię nogami?

Nastąpiła chwila milczenia, podczas któréj słychać było Carkera starszego przerzucającego papiery, jak gdyby chciał zakończyć rozmowę. Brat jego zbliżył się ku drzwiom:

— Cóż ci mam więcéj powiedzieć? rzekł biorąc za klamkę. Oto raz jeszcze cię błagam, pomyśl ilem ucierpiał już w życiu. Czyliż nie opłacam codzień mojéj winy? Tak było i teraz, kiedym widział tego młodzieńca na tem samem miejscu i w tem położeniu, w którem ja dobrą cześć utraciłem. Ostrzegać go nie śmiałem, tem mniéj rad mu dawać, bo czyliż samo zetknięcie ze mną, człowiekiem upadłym i pogardzanym, nie mogło wystarczyć na zepsucie tego dziecięcia? Przypomnij sobie moją pierwszą młodość Jerzy, porównaj ją z dzisiejszem położeniem Gaya, a może wtedy zdołasz być nieco litościwszym dla mnie. Czyliż w tem zbliżeniu nie napotykam znowu owéj zasłużonéj kary, która bez ustanku mię ściga?

Wyrzekłszy te słowa, Carker młodszy wyszedł z gabinetu i zamknął drzwi za sobą. W téj chwili ujrzał stojącego w kurytarzu Waltera. Jakkolwiek zawsze blady, pobladł jeszcze bardziéj, ale młodzieniec ściskając go za rękę, rzekł mu z cicha z żywem współczuciem i ze łzami w oczach:

— O niechże ci całem sercem podziękuję, kochany panie, niech ci chociaż raz powiem ile czuję dla ciebie przyjaźni, i ile cierpię nad tem żem cię mimowolnie naraził na tyle przykrości, ciebie mojego jedynego tutaj opiekuna i doradcę. O panie Carker, jakże mi żal ciebie! powtarzał Walter ściskając ręce biedaka z takiem wzruszeniem, że zaledwie sam wiedział jakie słowa wymawiał.

Widząc tuż obok otwarty i całkiem pusty gabinet Morfina, Carker i Gay weszli do niego, nie chcąc rozmawiać w kurytarzu gdzie co chwila ktoś przechodził. Gdy młodzieniec spojrzał w twarz przyjaciela, była tak zmienioną śladami wewnętrznych udręczeń, że zdało mu się, iż ją widział po raz pierwszy.

— Walterze, rzekł Carker kładąc mu rękę na ramieniu, muszę rozstać się z tobą i to na zawsze. Czy ty wiesz co za człowiek ja jestem?

— Co za człowiek pan jesteś? powtórzył machinalnie zdumiony młodzieniec z oczami wlepionemi w twarz jego.

— Zanim doszedłem lat dwudziestu, już byłem zgubiony, — mówił daléj Carker. Raz się potknąwszy na ślizkiéj pochyłości występku, nie potrafiłem już się zatrzymać. Zaledwie wyszedłszy z lat dziecinnych, zacząłem okradać moich pryncypałów. Gdy się wszystko wreszcie odkryło, liczyłem niespełna lat dwadzieścia dwa i odtąd przestałem żyć dla społeczeństwa.

Myśl Waltera wtórowała tym ostatnim wyrazom, wszelako nie wyrzekł ani słowa.

— Dombey ojciec, ciągnął daléj Carker, okazał się wtedy niemało względnym dla mnie; oby Bóg wynadgrodził starca, który potrafił mi przebaczyć, a także i syna jego dzisiejszego naczelnika firmy, świeżo wtedy do wspólki przypuszczonego. Nie ma co powiedzieć, zawiodłem zaufanie jakie we mnie położono. Pamiętam jak gdyby to wczoraj było, chwilę w któréj mię zawołano do gabinetu w którym i teraz pracuje Dombey. Odtąd, nie przestąpiłem więcéj jego progu, i wyszedłszy ztamtąd zająłem miejsce na którem mię dziś widujesz. Upływały lata po latach, a ja zasiadałem codzień w odosobionym kącie, gdzie przebywam sam jeden, zawsze sam — jako człowiek odłączony od swych towarzyszy aby im służył za przykład. Z tem wszystkiem, wyznać to muszę iż niemało doznałem pobłażliwości od moich zwierzchników; dla tego tylko potrafiłem daléj dźwigać to spodlone życie. Z przebiegiem czasu, rozmiary mojéj pokuty zmiejszały się stopniowo; dzisiaj sądzę iż z wyjątkiem trzech naczelników firmy, nikt w kantorze nie zna dokładnie mojéj przeszłości. Zanim się jéj dowie mały Pawełek kiedy dorośnie, może już ustąpię innemu mój kącik i dałby Bóg aby się tak stało....

Tu Jan Carker zamilkł na chwilę, potem jakby nagle zbudzony, rzekł:

— Niechaj Bóg opatrzny czuwa nad tobą Walterze, niech ci nigdy nie da zejść z prawéj drogi, a raczéj niżby się to stać miało, niech ci życie odbierze!

Mrożący dreszcz przebiegł członki Waltera i łzy wytrysły mu z oczu. Wrażenie téj chwili było jedynem, jasnem wspomnieniem jakie z téj rozmowy zachował...

Kiedy po kilku chwilach młody Gay zobaczył się znowu z Carkerem, znalazł go swoim zwyczajem pochylonego nad pulpitem i wyraźnie unikającego wszelkiego przypomnienia poprzedniéj rozmowy. Wrażenia jakich młodzieniec był doznał od rana były tak silne i różnorodne, że zastanawiając się nad niemi, zaledwie mógł uwierzyć, iż to wszystko jawą nie zaś snem było. Czyliż miał naprawdę odpłynąć do Indyi, to jest opuścić wuja i kapitana, wyrzec się owéj promienistéj jutrzenki, któréj było Florcia na imię, — słowem utracić wszystko co kochał i wszystko czego się w życiu spodziewał?

A jednak, nie mogło nie być bardziéj prawdziwego. Wieść ta już po biórze krążyła, w dowód czego podczas gdy Walter dumał smutno zamyślony nad swym pulpitem, Perch woźny kantoru trącił go z lekka w łokieć, prosząc aby nie zapomniał przysłać mu z Indyi słoik smażonego imbieru, od którego się spodziewał nie małego wzmocnienia dla żony, mocno osłabionéj po przebyciu ciężkiéj słabości.

XIV.

Powrót Pawełka do domu na wakacje.

Za zbliżaniem się letnich wakacyj, żadne oznaki ukontentowania nie pojawiły się pomiędzy posępnemi wychowańcami doktora Blimbera. Wytworna grzeczność cechująca ów zakład, wykluczała wszystko co przekraczało granice uroczystego nastroju, będącego tam na porządku dziennym. Dwa razy do

roku uczniowie odjeżdżali do rodziców, ale nie poprzedzały ich wyjazdy krzątanina i wesołość cechująca podobne chwile w innych naukowych zakładach.

Mały Totzer, sąsiad Pawełka w sypialni, bywał przy innych swych strapieniach wielce dręczony sztywnością białego krawatu, który z rozkazu matki codzień musiał przywdziewać. Ponieważ pani ta przeznaczała go do stanu duchownego, zdaniem jéj należało, aby się co najwcześniéj przyzwyczajał do téj dokuczliwéj części ubrania które miał kiedyś nosić. Biedak był do tego stopnia przygnębiony i odrętwiały, że powiadał iż wolałby zostać na pensyi niżeli jechać do domu. Wyznanie to bez wątpienia całkiem szczere, stało w zupełnéj sprzeczności z niedawno zadanem Totzerowi opracowaniem o rozkoszach wakacyi, w którem tenże uczeń napisał że: „przypomnienia rodzicielskiego domu budziły w nim najsłodsze myśli i napełniały niewysłowionem szczęściem jego duszę.

W dalszym ciągu tegoż opracowania, Totzer nie wahał się nawet przyrównać siebie do rzymskiego wodza, dumnego zwycięstwy odniesionemi nad barbarzyńcami i wracającego obciążonego łupem do bliskiego już Kapitolu. Ma się rozumieć, iż Kapitol oznaczał w tym razie dom rodzicielski. Sprzeczność ową tłumaczyła ta okoliczność, iż Totzer miał wuja, który w czasie wakacji brał na siebie obowiązek egzaminowania go nie tylko z pobieranych nauk, ale i z mnóstwa innych rzeczy, do czego sam się romyślnie przygotowywał. Nieszczęśliwy chłopak wiedział, że ilekroć go wuj zaprowadzi niby dla rozrywki na teatr, do cyrku, lub do menażeryi, już pewnie przeczytał jakie klasyczne dzieło o tym przedmiocie, zamyśla mu zadawać rozmaite o nim pytania: truchlał tedy zawczasu nie mogąc przewidzieć, dokąd zajdzie owa rozprawa i ilu autorów nazwiska mogą w niéj być przytaczane!

Co się tyczy Briggsa, ojciec jego działał bardziéj otwarcie, jakkolwiek w tymże samym kierunku. Zasadą jego było nie zostawić dziecku ani chwili wytchnienia, skutkiem tego wakacje owego biedaka bywały tak rozpaczliwie pracowite, że nieraz znajomi odwiedzający jego rodziców na letniem mieszkaniu pod Londynem, oglądali się mimowolnie na sąsiednią sadzawkę, myśląc że na niej kiedykolwiek ujrzą pływający kapelusz ich syna, w towarzystwie arkusza papieru z niedokończonem opracowaniem. Z tych więc powodów, Briggs nie bardzo się także cieszył na czas wakacji, i tak obadwaj ci towarzysze niedoli Pawełka, wyczekiwali z posępną rezygnacją nadejścia wakacji, dzieląc w tym względzie usposobienie reszty uczniów zakładu, którym całoroczne przygnębienie odjęło już było możność rozweselenia się czemkolwiek.

Z Pawełkiem jednak rzecz się miała w tym razie całkiem inaczej. Przez całe wakacje miał być razem z Florcią, zatem w wyobraźni jego święto owo nie miało mieć końca. W miarę jak się zbliżało, lwy i tygrysy pełzające po ścianach pokoju Pawełka, zdawały mu się stopniowo z nim oswajać, a nawet łasić się do niego z przymileniem. Twarze wykrzywiające się w skazach szyb i błyski tryskające z pośród kwiatów kobierca, nabierały coś łagodniejszego i bardziéj uśmiechniętego. Stary i poważny zegar zdawał się powtarzać z większą życzliwością swoje nieustanne zapytanie, a w nocy kołysanie się bałwanów przechodziło w tęschny śpiew jakiś, smutny a zarazem uroczy, który podnosząc się z falami i z niemi uciszając, usypiał Pawełka swym łagodnym dźwiękiem.

Imć pan Feder, kandydat filologii, obiecywał sobie bardzo przyjemne wakacye; też samą nadzieję żywił i Toots, a raczéj ten ostatni spodziewał się mieć odtąd życie z samych wakacji złożone: bowiem — jak do każdego powtarzał — było to ostatnie półrocze,które spędzał w domu doktora, i niebawem miał objąć majątek swój w posiadanie.

Stosunek Pawełka z Tootsem stał na téj stopie, że już byli sobie serdecznemi przyjaciółmi pomimo różnicy wieku i stanowiska. Gdy za zbliżaniem się wakacji, Toots począł spoglądać coraz częściéj na Pawełka, sapiąc przytem więcéj niż dotąd bywało, mały jego towarzysz widział w tem oznaki żalu z bliskiego ich rozstania, i czuł wielką wdzięczność dla Tootsa za jego dobre serce i udzielaną mu protekcję.

Protekcja owa którą osłaniał małego Dombeya jego dorosły przyjaciel, była już z resztą rzeczą uznaną w całym zakładzie. Wiedział o niéj każdy, począwszy od rodziny doktora aż do pani Pipchin, która nawet czuła z tego względu zazdrość pełną goryczy. W poufnych swych zwierzeniach. zacna ta pani obdarzała Tootsa nazwą osła i niedołęgi, a jednak Bóg widzi nigdy nie miał na myśli chcieć ją rozgniewać. Przeciwnie miał dla niéj wielkie uszanowanie i uważał ją za osobę nieposolitych zalet, skutkiem tego ilekroć odwiedzała Pawełka, nie omieszkiwał wypytywać jej nieustannie o zdrowie w sposób bardzo uprzejmy.Pewnego razu do tego stopnia ją tem zniecierpliwił, że mu bez ogródek oświadczyła, iż nie będąc do podobnych żartów nawykła, stanowczo im koniec zamierza położyć.Otrzymawszy za swą grzeczność tak niespodziewaną zapłatę, biedny chłopak tak mocno się przeraził, że poszedł się zamknąć w swoim pokoju i nie wyjrzał ztamtąd aż po odejściu pani Pipchin, której nigdy więcéj nie odważył się zajrzeć w oczy.

Pewnego dnia, na pewien czas przed wakacjami, Kornelia zawołała Pawełka do siebie i rzekła mu:

— Dombeyu, odeszlę ci zaraz twój rozbiór.

— Dziękuje pani, odpowiedział Pawełek.

— Czy wiesz o jakiéj lekcji mówię? spytała patrząc mu w oczy przez okulary.

— Nie pani, nie wiem.

— Dombey zawołała Kornelia, jakże lękam żebyś z czasem nie wyszedł na bardzo miernego ucznia! Jeśli czego nie rozumiesz, dla czegóż nie pytasz o wyjaśnienie?

— Pani Pipchin gniewała się kiedym ją o co zapytywał.

— Bardzo proszę nie wspominać mi tu o pani Pipchin. Tuszę sobie, iż niemałe prz estrzenie dzielą mię od podobnych istot. Ostrzegam cię Dombeyu, że w razie gdyby podobna wzmianka się ponowiła, każę ci powtórzyć przed śniadaniem i to bez żadnego błędu od *verbum personale* aż do *simillissima sygno.*

— Nie myślałem, — odezwał się nieśmiało Pawełek...

— Nie potrzebujesz mi rozpowiadać co myślałeś i czego nie myślałeś; uwalniam cię od tego, rzekła panna Blimber z naciskiem udanéj grzeczności. Tym sposobem nie przestałbyś nigdy mówić i cały dzień zszedłby ci na tem.

Paweł uznał za rzecz bezpieczniejszą nie odzywać się więcéj; patrzał tylko z trwogą na groźne okulary Kornelii. Ta, pokiwawszy przez chwilę głową, poczęła czytać głośno z ćwiartki którą w ręku trzymała:

— Rozbiór charakteru Pawła Dombeya!

Tu, przerywając sobie, rzekła:

— Jeśli mię pamięć nie zawodzi, słowo rozbiór, w wyjaśnieniu danem przez Walkera, tak jest określone: „Sprowadzenie do pierwotnéj jego treści przedmiotu, bądź to do duchowéj, bądź materjalnéj natury. Rozumiesz Dombeyu; bądź to duchowéj bądź materjalnéj natury: — usłyszawszy to, wiesz dokładnie czem jest rozbiór.

Pawełek nie wielkie zdawał się odnosić korzyści ze światła, którem Kornelia myśli jego rozjaśniała, w każdym razie skłonił się z podziękowaniem.

— Rozbiór charakteru Pawła Dombeya, czytała znowu panna Blimber. Zdaniem mojem, wrodzone zdolności Dombeya całkiem są zadawalniające; również usposobienie jego do nauk nie pozostawia w ogóle nic do życzenia. I tak, biorąc naprzykład cyfrę ośm jako arytmetyczne określenie najwyższego stopnia tych przedmiotów, wypadnie iż Dombey posiada je w wysokości sześciu i trzech ćwierci.

Tu Kornelia zatrzymała się, żeby zobaczyć w jaki sposób Pawełek przyjmie tę wiadomość. On zaś tymczasem zapytywał siebie, czy owe sześć i trzy ćwierci miały znaczyć sześć funtów i piętnaście szylingów, czy sześć stóp i dziewięć cali, czy też sześć godzin i trzy kwadranse, czy też było to sześć przedmiotów całkiem mu nieznanych, z równie nieznanemi trzema ćwierciami; i nie umiejąc na to znaleść odpowiedzi, zacierał sobie ręce i patrzył z uwagą na Kornelję. Na szczęście, spojrzenie to wydało się jéj całkiem zadawalniającem, i po chwili czytała znowu dalej:

— Popędliwość — do wysokości dwóch; sobkostwo — podobnież. Pociąg do obcowania z niższemi od siebie osobami, uwydatniony z okazji niejakiego Glubba — początkowo do wysokości siedmiu, odtąd już stopniowo zmniejszony. Wyższe uczucia, do czterech, z wiekiem cyfra się podwyższy.

— A teraz, dodała Kornelia, zwracam twą szczególną uwagę na ostateczny pogląd zakończający ten rozbiór.

Pawełek przybrał postawę bardzo przejętą ważnością tego co miał usłyszeć.

— „W ogóle, czytała daléj panna Blimber sem donośnym i zwracając za każdym słowe promień swych okularów na drobnę twarzyczkę w nią patrzącą,—można powiedzieć że Dombey, tak sprawowaniem swem jak i usposobieniem, nie zasłużył na żadną naganę, w naukach zaś uczynił wszelkie możliwe postępy. Należy wszelako nad tą jedyną okolicznością ubolewać, iż młody ów gentleman jest w pojęciach swych i zachowaniu się tyle dziwaczny, że się w tym względzie całkiem różni od innych młodzieńców swego wieku i stanowiska, co jakkolwiek nie jest wyraźną wadą, może stać się w skutkach dla niego szkodliwem. Czy zrozumiałeś to com ci przeczytała, Dombeyu? spytała panna Kornelja składając poważnie arkusz.

— Zdaje mi się żem zrozumiał, — odpowiedział Pawełek.

— Rozbiór ten zostanie posłany twemu ojcu, mówiła dalej panna Blimber; bez wątpienia, zmartwi się on niemało, dowiadując się że syn jego jest dziwacznym w pojęciach i zachowaniu się. Niemniéj to przykrem jest dla nas, gdyż nam przeszkadza kochać cię tyle, ilebyśmy tego pragnęli.

(d. n.)

OPOWIADANIE ŻOŁNIERZA

WYDANE PRZEZ

Amadeusza Acharda.

(Dalszy ciąg).

Teraz na mnie nadeszła koléj służby. Na znak dany przez porucznika i w chwili gdy ostatni zuawi schodzili ze zwodzonego mostu, wybiegliśmy w kilku całkiem na zewnątrz bramy i zawięsiliśmy się na łańcuchach dla podniesienia mostu. Prusacy już teraz wolni od strzałów naszych ochotników, rzucili się ku palisadom i rozpoczęli ogień piekielny. W około téj kupki ludzi uczepionych u łańcuchów, kule padały wieńcem, spłaszczając się o mury. Zdawało mi się, że lada chwila z jaki dziesiątek ich we mnie ugodzi. Odskakując od kamieni i od żelaza, wydawały zgrzyt nieprzerwany,—tak wielką była ich ilość. Wydziwić się nie mogłem niezwykłéj ciężkości mostu, i trudności z jaką przesuwały się łańcuchy, a jednak cała robota trwała zaledwie minutę. Żaden z nas nie poniósł przy niéj najmniejszego szwanku. Gdy kule nieprzyjaciela poczęły się obijać o żelazne tarcze zamykające bramę, stary kapral będący z nami, otarł sobie spocone czoło oddychając pełną piersią.

— Dopisało nam dziś szczęście, moi chłopcy, rzekł wesoło, niechby tak daléj tylko potrwało. Nie ma tu już co robić, dodał, chodźmy na okopy, zabawnie będzie ztamtąd wszystkiemu się przyglądać.

Zabawnie, co prawda, niekoniecznie tam było; nie jeden granat padał tu i owdzie dosyć często, wszelako od kul karabinowych można się było przynajmniéj jakkolwiek ochronić. Położyłem się na murawie i zapaliwszy cygaro począłem rozpatrywać szczegóły potężnych zapasów jakie miałem przed oczami. Wszędzie w około płomienie pożarów, wszędzie kłęby dymu unoszące się w powietrze, a wśród pól tu i owdzie przewijające się długie czarne smugi, lub pojedyncze postacie szybko przebiegające. W dalszych głębiach widać było napływające ciężkie, ciemne jakieś massy.

— To ich piechota, rzekł, leżący przy mnie kolega, który z mojéj fajeczki się zaciągał.. Mają jéj te łotry podostatkiem.

Przerwał sobie dla zaczerpnięcia z mego worka tytuniu, potem dodał:

— A tamto co to się tak kłębi pośród kurzawy, to ich ułani. Im ich więcéj wystrzelasz, tem ich więcéj jakby z ziemi wyrasta.

Przypatrywałem się całości tego obrazu, jak gdyby z krzesła teatralnéj sali: o ileż jednak był on odmienny od owych walk, których przedstawienia widywałem po cyrkach! Dzisiaj, przestałem już liczyć trupy zaściełające równinę, ucho moje nawykło było do ryku dział i do przenikliwego świstu kul tnących powierze. W tem, wzrok mój błąkający się tu i owdzie, napotkał ustęp walki, który zatrzymał przy sobie moją uwagę. Na lewém skrzydle naszem, po wyniosłéj równinie górującéj po nad miastem od strony Belgii, szwadron francuzkich kirassierów pędzący cwałem, wykonywał szarżę na nieprzyjaciela. Błyszczące ich kirysy zdawały się ogniem tryskać, niby to gwiazd potok szybko gdzieś leciał. Ostrza szabel wystrzeliwały silniejszym błyskiem z pośród téj żyjącéj lawiny. W jednéj chwili spadła ona na czarujące w dali szeregi Bawarów, ale już ją dostrzegły były pruskie baterje. W mgnieniu oka, strzały skierowane dotąd ku okopom, tam się zwróciły, przechodząc po nad naszemi głowami z ponurem warczeniem. Na płaszczyźnie w którą wzrok miałem utkwiony, granaty poczęły pękać, w szeregach potworzyły się luki, konie padały na ziemię. Serce moje biło tak silnie, że zaledwie mogłem odetchnąć, dopóki się nie doczekałem odwrotu naszych żołnierzy. Już wtedy, to co się dało ocalić wydawało się nam wygraną.

Jakkolwiek bowiem do południa mniemano w Sedanie, że była ona po naszéj stronie, mniéj to było wiarą, jak nadzieją u wojska. Widząc niepewność żołnierzy, niektórzy oficerowie usiłowali podnieść w nich ducha, urojonemi wieściami o zbliżeniu się Bazaine'a.

Niestety! nie Bazaine to nadciągnął, ale jak pod Waterloo, nowy Blücher ze stutysięcznem wojskiem. Około południa, znagła gruchnęła wiadomość że nieprzyjaciel otrzymawszy świeże i znaczne posiłki, rozpoczął działania zaczepne, skutkiem czego już miejscami oddziały nasze, strudzone tak nierówną walką, cofać się poczynały. We dwie godziny potem, odwrót już był ogólny i niebawem stał się bezładną rozsypką. Położenie pogorszało się z każdą chwilą, zamięszanie ogarniało wszystkie części wojska. Ze szczytu wałów przypatrywałem się wraz z towarzyszami niepewnym i chwiejnym ruchom naszych pułków. Nigdzie już nie było widać ładu ani karności, nikt nie trzymał się szeregu. Pociski nieprzyjacielskie uderzały bez przerwy w owe tłumy, dziesiątkując je coraz bardziéj. Po szwadronach tworzyły się szczerby; massy piechoty topniały i szły po drodze. Nie traciliśmy z wysokości naszego stanowiska, żadnéj sposobności użycia skutecznie ładunków jakie nam pozostawały, oszczędzając je wszelako i niemarnując na niepewne. Wściekłość mię ogarniała na widok śpiczastych kasków prusaków, napływających powodzią zewsząd. Niektórzy z nich padali, ale na ich miejsce coraz więcéj przybywało. Dziwne myśli nawiedzają nieraz umysł człowieka; ni ztąd ni zowąd przypomniałem sobie w téj chwili owe sławne polowanie na zające, w których miewałem nieraz udział w księztwie Badeńskiem, i nabijając mój szaspot z dokładnością wytrawnego myśliwego, porównywałem wrażenia jakich naówczas doznawałem dopełniając podobnéj czynności, z temi które obecnie duszę moją przejmowały.

Ilekroć dał ognia który z moich towarzyszy, zaraz podnosił żywo głowę i wypatrywał w oddaleniu skutków swego strzału. Niekiedy rozgłośny wybuch śmiechu wyrażał doznane zadowolenie, czasem znowu energiczne zaklęcie świadczyło o przykrym zawodzie. Tu i owdzie nieszczęśliwi ranni słaniali się, czepiając się płotów i zużywali resztki sił dla wyszukania sobie schronienia. Widać było żołnierzy padających ciężko na twarz, z rękami przed siebie wyciągniętemi; jedni nie ruszali się już więcéj, inni wirowali w miejscu przez chwilę, lub też padłszy zrywali się jeszcze z ziemi jak spłoszona zwierzyna, i po kilku susach znowu padali na trawę, wśród któréj szamotali się czas jakiś w konwulsjach konania. Rzecz to niepojęta, do jakiego stopnia dzika krwi chciwość rozbudza się w duszy człowieka trzymającego broń w ręku wśród walki zażartéj. Pragnienie mordu wyłącznie w nim wtedy panuje, położyć trupem jak najwięcéj ludzi, to jego żądza jedyna. Zajadłość owa dodająca zaczepce tyle siły nie równa się z niczem, wyjąwszy może z potężnym powiewem popłochu, gdy przyspiesza ucieczkę pierzchających zastępów.

— A to panie raj dopiero, rzekł zuaw stojący przy mnie.

Podczas gdy usiłowałem odgadnąć, jakie znaczenie mógł mieć ów wyraz zastosowany w ten sposób, spostrzegłem pruskiego żołnierza, który pełzając przygarbiony po pod okopem, usiłował dostać się do palisady opuszczonéj przez naszych. Od czasu do czasu, brał na cel i dawał ognia. Dopuściłem go do przejścia gdzie lekka falistość poziomu musiała zostawić go na chwilę odsłonionym. Gdy tam doszedł, strzeliłem. Puścił z rąk karabin i w rów się potoczył.

— A co? liznąłeś go co się zowie, rzekł do mnie zuaw.

Zadrżałem do głębi mojego jestestwa, przejęty wrażeniem dotąd mi nieznanem, ale nie pora była w niem się rozpatrywać. Pruskie pociski szczerbiły bezustannie szczyty wału, przy którym na odwrotnéj stronie leżałem z towarzyszami. Tuż obok mnie znajdował się ochotnik przybyły świeżo do pułku. Gdy pierwszy granat pękł o kilka kroków od niego, ani drgnął nawet, cały zajęty uważnem celowaniem. Przyszła chwila w któréj zbrakło mu ładunków. Mający lepszy zapas kolega, rzucił mu ich paczkę; młody ochotnik podniósł się na kolana, żeby ją podjąć i głowa jego ukazała się przez chwilę po nad poziomem parapetu. Znagła ujrzałem jak opadła mu na rękę która została od razu krwią zbroczona, kula weszła mu tyłem głowy a ustami wyszła. Rzuciłem się żywo ku niemu.

— Daj mu pokój, już mu się nic nie należy, rzekł spokojnie stary mój kolega.

Serce mi się ścisnęło. Mimowolnie, sięgnąłem ręką po ładunki od których struga krwi już dobiegała. Położyłem część ich na trawie przy sobie, resztę schowałem w kieszenie szerokich moich szarawarów.

— Cóż to znowu? ty jak widzę nie masz pasa na ładunki! rzekł do mnie stary mój towarzysz. Toż mi dopiero z ciebie, cielę! dodał odpinając najspokojniéj pas poległego i kładąc go na mnie.

Prowadziliśmy dalej żywo naszą tyralierkę, kiedy w tem odezwał się głos porucznika, wzywający trzydziestu ludzi na ochotnika.

W jednéj chwili stanąłem na równe nogi. Toż samo uczyniła większa część moich towarzyszy.

— Do murów znowu chłopcy, a żywo! krzyknął porucznik.

Puściliśmy się ku zwodzonemu mostowi tak szalonym pędem, że niektórzy z nas już byli na nim kiedy jeszcze nie opadł na przeciwny brzeg fossy. Dotknąwszy stopą ziemi, jednym susem byliśmy przy murach. Zacajeni po drugiéj ich stronie prusacy prażyli nas tęgim ogniem, strzelając niemal lufa w lufę. Była chwila że dotykając kurka mojego szaspotu, spostrzegłem od drugiéj strony strzelnicy przy któréj stałem, wymierzoną ku mnie iglicówkę, a po za nią czerwoną i zasapaną twarz prusaka w błyszczącym kasku. Strzał mój padł pierwszy; odpowiedział mu wykrzyk stłumiony i czerwona twarz owa znikła. Nie próbowałem wyjrzeć dla zobaczenia co się z nią stało. Gwardziści ruchomi uszykowani wzdłuż wału, nie przestawali strzelać, kule ich zalatywały niekiedy aż do naszego zakątku, ale nie było nam wtedy czasu zaprzątać się tem co się działo po za nami.

Znagła bliższy huk dział zwrócił naszą uwagę. Były to nasze armaty, zasypujące kartaczami sąsiednie domy pozajmowane przez Bawarów. Od pierwszego strzału, błękitne ich kurtki i szare płaszcze poczęły się ukazywać w drzwiach i w oknach. Spłoszeni jak gromada szczurów zaskoczonych w swych skrytkach niespodzianą obławą, wybiegali

z obranych schronień i uciekali bezładnie. Śmielsi przeskakiwali mury i zagrody, przebieglejsi a mniéj odważni przemykali się po pod domami, starając się dopaść jakiegokolwiek bezpieczniejszego miejsca. Inni, ale tych było najmniéj, chcąc dotrzymać placu strzelali jeszcze, zaczajeni po za węgłami domów, lub za resztkami płotów tu i owdzie pozostałych. Odpowiadaliśmy im celnie i żywo, zamieniając z rzadka pomiędzy sobą kilka oderwanych wyrazów. Wzrokiem i słuchem, słowem duszą całą, byliśmy wyłącznie walce oddani. Wytężone oko śledziło zdobyczy w którą miał być strzał skierowany, usta wykrzywiały się nerwowym śmiechem, ilekroć nowa ofiara zwiększała liczbę trupów opasujących palissadę. Słyszałem już dawniéj o potwornéj gorączce, którą zapała w człowieku polowanie na człowieka,—obecnie czułem w żyłach jéj żary ohydne.

IV.

Nie wiedzieliśmy nic zgoła o obrocie walki wrzącéj od świtu. Kłęby dymu zasłaniały przed nami dalsze widnokręgi, wszelako wnosząc z wzrastającego huku dział, łatwo było odgadnąć, że plac boju coraz bliższym się stawał. Niewyraźne przeczucie zapowiadało nam, że wojska nasze zostaną otoczone w Sedanie dokąd powoli napływały. W około szańców roiły się w nieładzie zbrojne tłumy, w których piechota mięszała się z konnicą. Nie szukać tam już było szyku ani karności. Oddziały rozpraszały się i w oczach topniały. Po dwóch godzinach odwołano nas z okopów, i raz jeszcze znowu tam późniéj wysłano z odnowionym zapasem ładunków. Nie czułem ani skwaru, ani głodu, ani zmęczenia, żyłem tylko żądzą boju.

W tem, wieść że dwudziesto-cztero godzinne zawieszenie broni zostało podpisane, przebiegła pomiędzy wojskiem z szybkością iskry elektrycznéj. Zaraz potem biała chorągiew ukazała się na szczycie wałów.

— Czy widzisz ten łachman? rzekł do mnie stary mój towarzysz, trącając mię łokciem.

Patrzyliśmy weń wszyscy w niemem osłupieniu. Po wściekłości walki, następowało bezsilne odrętwienie. Ocierałem machinalnie mój szaspot kurzący się jeszcze i poczerniały od prochu. Koledzy moi wyrzekali i szemrali półgłosem na dowódzców.

— Gdzież się to podział ten ze szlifami co to miał do nas kazanie dziś rano? rzekł jeden z nich. Radbym go teraz zobaczyć! Tfu! tacy jenerłowie,—to wszyscy razem nie warci jednego kaprala.

W istocie, tego samego poranku, podczas gdyśmy stali przy bramie Paryzkiéj, jenerał jakiś czy też pułkownik, przejeżdżając przed naszym frontem, wyrzekł był następujące wyrazy, przybierając teatralną postawę:

— Moi chłopcy, jakeście żołnierzami walecznego 3 pułku zuawów Afrykańskich, tak wam przyrzekam, że z wami przelecę po karkach prusaków i do Paryża was odprowadzę!

Nie było już nam komu przelatywać po karkach i wkrótce z żołnierzy mieliśmy stać się jeńcami.

Jakkolwiek chorągiew biała powiewała na okopach, baterje pruskie nie zaprzestawały dawać ognia. Uszczuplony nasz oddziaik zeszedł wreszcie z szańców i złączył się z resztą pułku na ulicy wiodącéj do bramy Paryzkiéj. Starsi z pomiędzy nas kiwali smutno głową; jakkolwiek nic im nie powiedziano, mieli pewność że już było po wszystkiem. Nikt z nas nie wiedział po co nas tu postawiono i z resztą mało nas to już obchodziło. Patrzyliśmy obojętnie na granaty obijające się jeszcze niekiedy o bruk, lub obtłukujące w przelocie mury domów; officerowie, adjutanci przechodzili szybko ulicą, dążąc jedni w tę, drudzy w tamtą stronę. Jeden z nich zbliżył się ku okopom i rozkazał, aby odkomenderowano zaraz kilku ludzi do jego rozporządzenia.

— Z pewnością wyczekują parlamentarza, rzekł do mnie mój sąsiad.

Wzrok mój zwrócił się ku sklepieniu bramy, którą tyle razy przebywałem od rana, na ciemnych jego ścianach ślady wyryte przez kule biało się odznaczały.

Po kilku chwilach spuszczono most zwodzony. Pułkownik bawarski ukazał się na nim i przeszedł przed naszemi szeregami, kilku officerów francuzkich mu towarzyszyło. Wszystkie oczy w nim tkwiły; był to człowiek wysokiego wzrostu, chudy, z jasnym włosem. Blade jego i szkliste źrenice przymrużały się po pod złotemi okularami, przypatrując się nam uważnie. Trębacz idący za nim krokiem miarowym miał długą twarz wybladłą, na któréj rude faworyty potwornych rozmiarów zakreślały potężne półkole. Nosił czerwony mundur pruskich huzarów, z rodzajem bermycy na głowie. Promień jego wzroku, powstrzymany przepisami karności wojskowéj, nie wznosił się po nad ramiona poprzedzającego go dowódcy. Postawa tego ostatniego przedstawiała dziwną mięszaninę zuchwałéj przechwałki i zakłopotania. Zaledwie uszedł był z jakie sto kroków od bramy, kiedy granat padł o kilkanaście metrów od niego. Wzdrygnął się z lekka i rzekł zwracając się ku towarzyszącym mu officerom:

— To istna z naszéj strony niegrzeczność; przepraszam panów za nią najmocniéj. Z pewnością nasze baterje nie dostrzegły białéj chorągwi... To rzecz doprawdy niesłychana! raz jeszcze stokrotnie przepraszam.

Owa „niegrzeczność" za którą bawarski pułkownik tak uprzejmie nas przepraszał, kosztowała w téj chwili życie dwóm nieborakom, których ciała właśnie uprzątano z drogi kędy miał przechodzić.

Nie na tem był jeszcze koniec od strony Prusaków. Pociski ich nie przestawały spadać na miasto i na okopy, niszcząc, kalecząc i zabijając tu i owdzie. Biała chorągiew nie zabezpieczała nas od dalszego napadu; czyniła tylko obronę niemożliwą. Z nadejściem wieczoru wszelako ogień zwolniał stopniowo i wreszcie całkiem się uciszył. Ponure milczenie, przerywane tylko posępnemi szmery, zapanowało nad miastem. Mieliśmy sobie zabronione powracać na szańce; mimo to, żołnierze cisnęli się tam tłumnie. Któryś z nich, w chwili rozpaczliwego wzburzenia, dał raz jeden ognia. Wściekłe okrzyki odpowiedziały strzałowi, officerowie nasi pozbiegali się. Jakiś kapitan poświęcił się w celu zapobieżenia grożącemu starciu i poszedł wytłumaczyć zaszłe zdarzenie przed pułkownikiem pruskim mającym dowództwo po za murami fortecy. Zwodzony most przy którym wystrzelałem pierwsze moje ładunki, pozostał był spuszczony; pod sklepieniem bramy przechadzało się dwóch francuzkich szyldwachów, a naprzeciw po drugiéj stronie fossy, stało na warcie dwóch prusaków. Nie wiedziałem co począć z sobą, chodziłem tam i sam, zamieniając od czasu do czasu kilka wyrazów z towarzyszami. Gniew nasz i oburzenie dawały sobie ujście w tych przerywanych rozmowach. Podniecenie chwil walki opuściło mię było zupełnie, ustępując miejsca niewysłowionemu przygnębieniu i znużeniu. Po pewnym czasie padłem o ziemię raczéj, niż się na niéj układłem i ciężki sen skleił moje powieki.

Późnym już wieczorem, zbudziły mię straszliwe jakieś odgłosy, do dzikiego wycia podobne. Zaledwie przetworzywszy oczy, zostałem olśniony jasnością pożaru witanego przez wojsko pruskie okrzykami wściekłéj radości. Kilka domów stało w pobliżu w płomieniach. Leżałem nieruchomy, patrząc na pożar rozjaśniający niebo łuną jaskrawą, myśli moje były tyleż co i wzrok rażone i oszołomione. Nie posiadałem wyraźnego poczucia mojego istnienia. Jeden tylko chyba grzmot dział, zdołałby był w téj chwili dźwignąć mię z tego stanu odrętwienia. Wokoło mnie, pełno zuawów spało lub fajki kurzyło w najrozmaitszych postawach. Ileż to zdarzeń miało miejsce w przeciągu tych dwóch dni ostatnich! Patrzałem machinalnie na ręce moje poczerniałe od prochu. Głuchy i jednostajny odgłos przerwał to ubezwładnienie, budząc moją uwagę. Gęste jakieś massy czarne przepływały przedemną pośród nocnych ciemności: były to szczątki wojska pozostałe po przegranéj, która wszystko rozstrzygnęła. Złamane i zwyciężone, szykowało się ono około wałów, według otrzymanych rozkazów. Za piechotą morskich oddziałów, które tak walecznie dług krwi spłaciły w walce, postępowały liniowe pułki całkiem nietknięte. Były pomiedzy niemi takie które wcale w ogniu się nie znajdowały. Z kilku wyrazów pochwytanych w przelocie, dowiedzieliśmy się, że marszałek Mac-Mahon został raniony, — niektórzy mówili, że poległ i że z rąk jenerała Ducrota dowództwo już przeszło było do Wimpfena. Wiodłem posępnie okiem po przeciągających szeregach, których bagnety błyszczały ostrzami wśród cieniów nocy. Tłum ów zbrojny zdawał mi się postępować ciężkim krokiem: dźwigał on brzemię klęski na barkach. Pochód ten trwał przez godzin kilka nieprzerwanie; patrzałem nań, to drzemiąc, to znowu się budząc, jakby na senne przywidzenie.

Nazajutrz z rana, ujrzałem miasto zalane żołnierstwem wszelkiéj broni, tłoczącem się na placach, po ulicach z gwarem dowodzącym, że o karności nie było tam więcéj mowy. Tu i owdzie widać było poszarpane mundury, twarze noszące piętno zmęczenia, lub też pałające sztucznem podniesieniem. Nie było to już wojsko, ale raczéj rozpierzchła trzoda. W tem, ruch jakiś pojawił się w tych gęsto zbitych tłumach; rozstępowano się przed nadjeżdżającym powozem zaprzężonym *à la Daumont*. Siedział w nim człowiek noszący na mundurowym surducie wielką wstęgę orderu Legii honorowéj. Drżenie przebiegło nasze szeregi —był to cesarz. Spoglądał wokoło owem zimnem wejrzeniem, tak dobrze znanem Paryżanom; twarz jego była zmęczona i blada, ale nic w niéj nie zdradzało najmniejszego wzruszenia. Cała jego uwaga zdawała się skupioną na papieros, który skręcał w téj chwili bardzo systematycznie. Trudno było odgadnąć co zamierzał uczynić. Trzéj jenerałowie z nim jadący, rozmawiali z sobą półgłosem. Konie szły stępo. Czuć było przerażenie zmięszane z gniewem wokoło tego powozu unoszącego z sobą cesarstwo. Poprzedzał go masztalerz noszący zieloną dworską liberję, za nim jechało kilku koniuszych, których ubranie złotem kapało.

(d. c. n.)

Dalszy ciąg opisu N. 51.

N. 22. Teka na papiery. Malowanie na drzewie. Zobacz numer 24—27 w dodatku z deseniami. Na gładko wyheblowanéj deseczce układa się i przypina cieniutkiemi śpilkami bukiet, ze starannie zasuszonych liści i kwiatów polnych, które powinny szczelnie przystawać do drzewa; następnie rozrabia się tusz lub sepiję i nakrapia starannie i równo całą powierzchnię deseczki. Potem odejmuje się kwiaty i liście, których kształty pozostały oznaczone na drzewie, odrabia ręcznie żyłki, ogonki i potrzebne cieniowanie. Ten rodzaj malowania można także zastąpić dekalkowaniem, czyli przenoszeniem gotowych i stosownie przyrządzonych kwiatów, pejzażyków i t. p. na drzewo, szkło lub porcelanę.

N. 23. Kałamarz kryształowy w osadzie drewnianéj malowanéj sposobem przy N. 22 opisanym.

N. 24. Przyrząd do wycierania piór z atramentu, w osadzie drewnianéj malowanéj.

N. 25. Nóż do przerzynania kartek, w oprawie malowanéj drewnianéj.

N. 26. Linja. Malowanie na drzewie. Wszystkie powyższe przedmioty od N. 22 — 26 stanowiące zbiór przyrządów na stoliczek do pisania, mogą być także malowane kolorami, ręcznie podług wybranych wzorów, ale wówczas większa znajomość rysunków i wprawa jest potrzebna. Drzewo także powinno być odpowiednio przyrządzone, a po wykończeniu roboty przez biegłego stolarza odpoliturowane.

N. 27—29. Pugilares na igły do szycia na maszynie. Kawałek pąsowego sukna 22 cent. długi, 10 cent. szeroki, wyszyty podług próbki N. 29 ściegiem sznureczkowym, jedwabiem czarnym i żółtym stanowi wierzch pugilaresu, pod który poddaje się podszewkę z białéj flaneli. Brzegi obejmuje się w koło aksamitką czarną, żółtym jedwabiem przystębnowaną; przez środek długości idą dwa pasy roboty szydełkowéj z kordonku czarnego. Każdy pas zaczyna się łańcuszkiem i obrabia tam i napowrót 3 razy o. ścisłemi, w środkowem obrobieniu, wrabiają się co 4 o. perełki stalowe. Następnie pasy obrabiają się wkoło jedwabiem żółtym, zwierzchnie wystające końce, przyozdobione są sprzączką stalową, pod niemi przyszyte do pugilaresu haftki, które zapinają się na pentelki jedwabne do drugiego końca pasów przyrobione. W środku jak to widzimy na N. 28, przyszyte jest 7 kawałków flanelki białéj, pąsowym jedwabiem odzierganéj, z wyszyciem numeru wsadzanych igieł.

N. 30 i 31. Szafka do rozmaitych drobiazgów z półeczkami wykładanemi i ozdobionemi haftem. Na tiulu grosbotowym daje się aplikacją z cienkiego perkalu, podług próbki deseniu N. 31. Pod ten haft podłożona jest pąsowa w ząbki wycięta flanelka, nieco dłuższej wysięgu. Górny brzeg zakończa się ruszą z pąsowéj wstążki, pod którą jest przyfastrzygowany.

N. 32 i 33. Stoliczek do pisania i do książek z przykryciem i lambrekiną. Stosownie do woli powiększa się rozmiary tego zgrabnego stoliczka, który niepotrzebuje być z drogiego drzewa jako cały przykryty, wyjąwszy postumentu i słupków odrobionych przez tokarza. Rodzaj pokrycia i wielkość lambrekiny zastosowane są do rozmiarów i przeznaczenia stolika. Na stół do pisania lub do książek pokrycie powinno być z zielonego sukna lub rypsu z lambrekiną, przyozdobioną aplikacją z tegoż samego materjału w ciemniejszym odcieniu lub aksamitu czarnego. Obfity wybór deseni do aplikacji i haftu, znajdują się na arkuszu dodatkowym. Do stoliczka do pisania lambrekin może być haftowana podług wzoru N. 35, dając aplikację czarną lub w ciemniejszym odcieniu aksamitną.

N. 34. Szlak do kubka na cygara. Rycina 23 w Tyg. Mód N. 50.

Opisy i kroje od N. 35 do 43 włącznie, znajdują się w dodatku.

Opis do N. 52.

N. 1. Kostium z tuniką i krótkim paletocikiem. Spódnica odrobiona jest z sukienka, a tunika i paletocik z welwetyny, tegoż co spódnica koloru, z obłożeniem z ciemnego futra i plisami aksamitnemi przy całym kostjumie. Kapelusz aksamitny.

N. 2. Ubranie z tuniką i karoczkiem dla małéj dziewczynki. Do spódniczki z niebieskiego kaszmiru, naszytéj aksamitnemi pliskami, tunika, staniczek z wykładanym kołnierzykiem i karoczek, dodane są z popielatéj popeliny, oszyte takiemże plisowaniem, przytrzymanem aksamitnym skosem. Do wyjścia na ulicę kapelusz popielaty filcowy, przybrany niebieską wstążką i czarnem piórkiem dopełnia ubranie.

N. 3. Kostium z tuniką i stanikiem z baskiną. Spódnica czarna aksamitna, tunika i stanik z brązowéj wełnianéj materji, oszyte jaśniejszą plisą, przyozdobioną wyszyciem z jedwabnego sznureczka brązowego z czarnym. Kapelusz do takiego ubrania powinien być brązowy aksamitny, z czarnem piórem.



N. 1—3. Suknie kostjumowe.

N. 1. Suknia z tuniką i krótkim paletocikiem. N. 2. Ubranie z tuniką i karoczkiem dla małéj dziewczynki. N. 3. Suknia z tuniką i stanikiem z baskiną.

N. 4—7. Okrycie do teatru.

Robota w ramach.

Model podany na rycinie N. 7 ma z przodu 50, z tyłu 60 cent. długości. Wiązanie nitek i przymocowanie kulek, dokładnie N. 4—6 objaśnia. Pasy z pąsowych kulek, wiązanych takąż samą nitką, mogą być odrobione i w każdym innym ulubionym kolorze, najlepiéj odbijać będą przy pasach białych, mięszanych z jedwabiem. Za nitki białego jedwabiu spajane w węzły, przewłóczona jest czarna angielska włóczka, jak to widać na rycinie 4—5. Wykrój szyi i brzegi przednie peleryny, spięté na guziki białe jedwabne, szmuklerskiéj roboty, zakończa szlak podany na rycinie 6. Dół oszyty trójkolorową frendzlą z kulek. Całość peleryny przedstawia N. 7.

N. 8. Kaftanik z szerokiemi rękawami.

Robota w ramach.

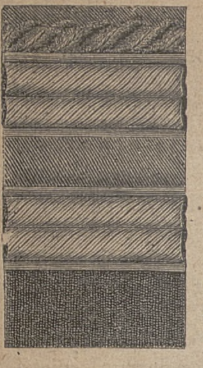
Między nowomodnemi okryciami do teatru, odznacza się ładny i strojny kaftanik, z włóczki wiązany w ramach. Kaftanik podany pod N. 8, zakończony jest szlakiem z włóczki niebieskiéj, takąż frendzlą u dołu i wkoło szerokich rękawów. Tło wiązane w ramach z włóczki i jedwabiu białego.

N. 9—11. Palto-sak z kapturkowym kołnierzem.

N. 9 i 10 przedstawia tenże sam paltot lecz z odmiennym garnirunkiem. N. 9. Przedstawia paletot zakończony frendzlą sznelową szerok. 9 cent. naszyty plisą aksamitną 5 cent. z wypustką atłasową pół cent. szeroką. Takaż plisa, lecz tylko 3 cent. szeroka przystraja rękawy. Kapturkowy kołnierz aksamitny przybrany rypsowem naszyciem i dwiema $^3/_4$ cent. szerokiemi przestębnowanemi pliskami. Górną część kapturka odznacza 2 c. szeroki przefałdowany skos rypsowy z atłasową podszewką, przytwierdzony $^3/_4$ centym. szeroką plisą. Z pod kapturka spadają dwa 14 cent. długie końce wysiepane u dołu na 3 cent. po nad niemi dane plisowanie także z jedwabnego rypsu ułożone w wachlarz. Kawałek do plisowania użyty, powinien mieć przed ułożeniem 47 cent. szerokości, po ułożeniu w wachlarz, liczy w środku 18 a na brzegach 8 cent. wysokości. Po zaokrągleniu oszyty jest frendzlą jedwabną 6 cent. szeroką.
N. 10 przedstawia paletot, z szerokiem aksamitnem obłożeniem i dwoma rzędami plisek z grubego jedwabnego rypsu 1 i pół cent. szerokości mających, oszytych wypustką atłasową. Po nad drugą plisą naszyty jest gruby sznur sznelowy. Obłożenie aksamitne u dołu liczy 10 cent. a przy rękawach tylko 4 cent. szerokości. N. 11 przedstawia odrobienie naszycia z plis o połowę zmniejszonych.

N. 12. Naszycie z plecionki i sutaszu, do paletotów, kaftaników lub całych sukien. Naszycie to z białéj plecionki z czarnym brzeżkiem, najładniéj odbija na jasno granatowem suknie. Może być odszyte w tym co suknia kolorze lub w odmiennym cieniu albo też w ciemnym i jasnym kolorze, lecz rożnym od tła.

N. 13. Koszyk na papiery lub robotę, z trzciny i haftowanych medaljonów. Koszyczek na papiery odrobiony świeżym fasonem, stanowi ładny i użyteczny sprzęt do kobiecego pokoju. Jeżeli chcemy powiększyć koszyczek i obrócić go do wkładania roboty, wówczas można w górze dodać jedwabny woreczek nawleczony na wstążkę do zsuwania. Nierównie jednak ładniéj przedstawia się taki koszyk z dopasowaną przykrywką z tektury, pokrytą materją i ozdobioną haftem.



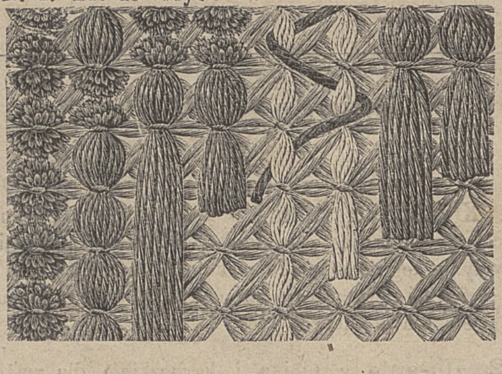
N. 11. Naszycie z aksamitu i plisek do paletota N. 10.

Kwadratowe dno koszyczka liczy wzdłuż 17 cen. w górze 27, centy. każda ściana koszyka jest 27 cent. wysoka. W środek podkłada się kaszmirową, kolorową podszewkę, przymocowaną do formy, odrobionéj ze zręcznie wyginanéj trzciny.

Medaljony wszyte w ramki z trzciny, można dobrać dowolnie podług wzorów haftu dawniéj już podawanych w Tygodniku. Górny brzeg koszyka zakończa riusza ze wstążki; uszka trzcinowe przyozdabiają takież kokardy.



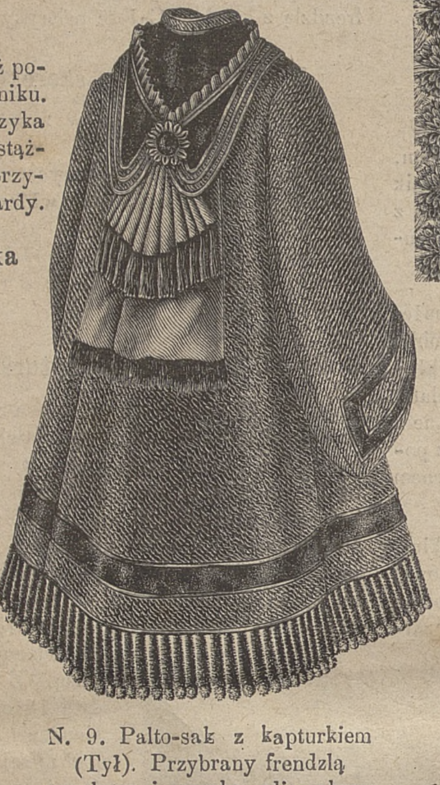
N. 4. Tło do okrycia N. 7. Robota w ramach. Patrz N. 5 i 6.



N. 5. Wykonanie tła w ramach. Patrz N. 4 i 6.



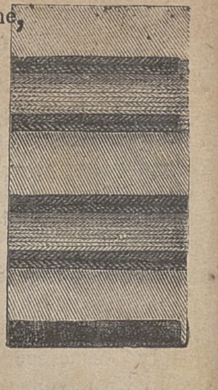
N. 6. Szlak do okrycia. Robota w ramach.



N. 9. Palto-sak z kapturkiem (Tył). Przybrany frendzlą sznelową i szeroką plisą aksamitną z atłasowemi wypustkami.



N. 10. Palto-sak z kapturkiem (Przód). Przybrany obłożeniem aksamitnem i pliskami rypsowemi z atłasową wypustką. Patrz N. 11.



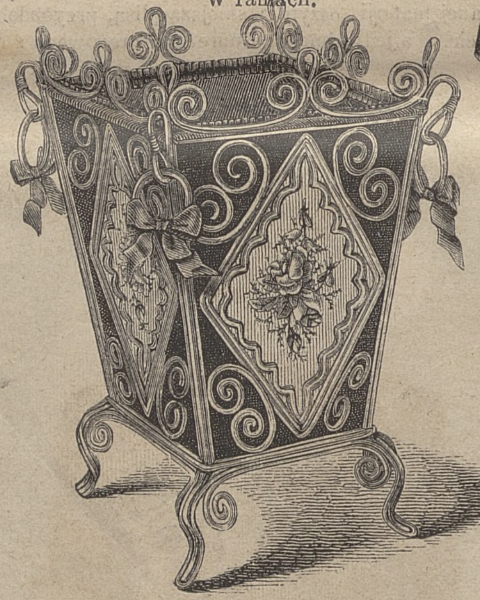
N. 12. Naszycie z płaskiéj tasiemeczki i sutaszu do paletotów lub sukien.

N. 14. Czapeczka mezka.

Haft na suknie lub aksamicie. Deseń rycina 20 w N. 1 Tyg. Mód 1872 r.

Materjał: czarne sukno, jasno i ciemno brązowy jedwab kordonkowy; sznureczek i nici złote; czarny jedwab i cienka jedwabna podszewka.

Okrągłe denko lekko podwatowanéj czapeczki, mające 13 cent. średnicy, naszyte jest na cienkiéj tekturze, boki składają się z kawałka 60 cent. długiego 14 cent. szerokiego, lekko przymarszczonego w górze, u dołu podłożonego skosem tekturowym, 3 cent. szerokim, dla nadania sztywności. Brzegi denka otacza sznur złoty przymocowany czarnym jedwabiem. Deseń znajduje się w N. 1 rycina 20; haft odrobiony jest jedwabiem brązowym do cieniu, złotą nitką i złotym sznureczkiem.



N. 13. Koszyk z trzciny na papiery lub robotę, z haftowanemi medaljonami.

N. 15 i 16. Okrągły kawałek z irlandzkiéj koronki.

jako denko do czepeczków, żabocika, do krawatki, pokrycie na poduszeczkę do igieł itp.

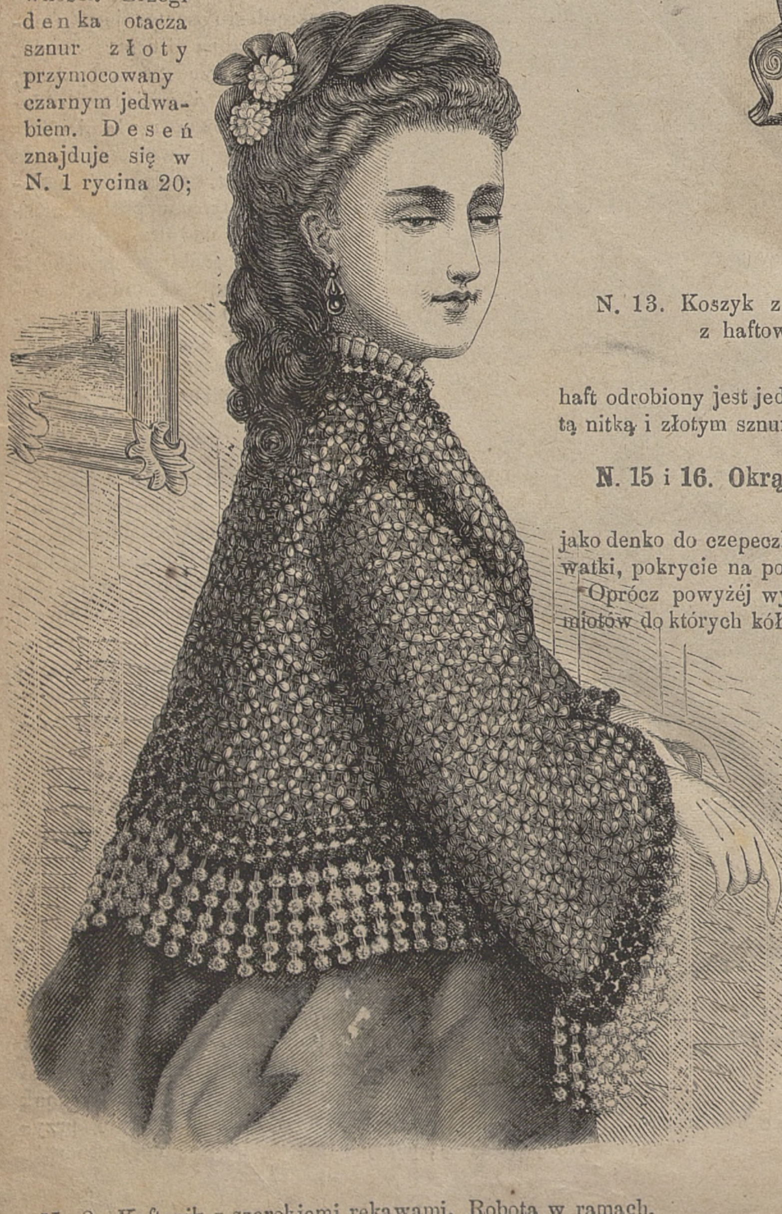
Oprócz powyżéj wymienionych przedmiotów do których kółko pod N. 15 przedstawione może być zastosowane, podajemy nowy niezwyczajny układ kokardy z koronki i wstążki. Na ten cel potrzeba założyć środkiem koła kontrafałdę, przypiąć kokardę ze wstążki kolorowéj, a końce pod spód założyć, aby efektownie odbijał środkowy motyl. Deseń koła i sposób łączenia ażurów niepotrzebuje szczegółowego opisu, gdyż z całą dokładnością przedstawiony jest na rycinie 15. N. 16 przedstawia upięcie kokardy z koronką.

N. 17. Kokarda do kołnierzyka.

Koronka ta odrobiona jest z czarnéj plecioneczki i czarnego jedwabiu. Od góry podłożone są końce kolorowe jedwabne wysiepane brzegiem, na których czarna koronka lepiéj się odznacza.

N. 18 do 25. Szlaczki na haft perełkami.

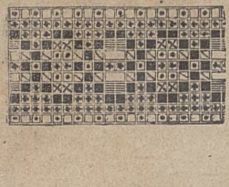
Podane przez nas szlaczki od N. 18 do 25 rozmaitéj szerokości i deseniu, dadzą się również do rozmaitych zastosować robót. Też same desenie można wyszyć na kanwie kolorowemi włóczkami, przyczem bynajmniéj nie stracą na piękności. Kolory perełek wskazane są różnemi znaczkami.



N. 8. Kaftanik z szerokiemi rękawami. Robota w ramach.



N. 7. Okrycie do teatru. Robota w ramach Patrz N. 4—6.



N. 18. Szlaczek na haft perełkami.

Wytłomaczenie znaczków podajemy pod deseniami.

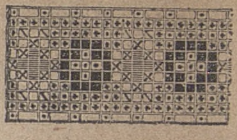
N. 26— 28. Futerał do drutów i igieł.

Na obie połowy futerału w kształcie książki potrzeba kawałka materjału 22 cent. długiego i 16 szerokiego, służyć tu może kaszmir, żaglowe płótno, aksamit lub skóra amerykańska. Model odrobiony z ciemno pąsowego kaszmiru przyozdobiony jest haftem z cienkiego jedwabiu i nici złotéj, odrobiony ściegiem luźnym. Kwiatki są niebieskie, białe i złote, gałązki i żyłki brązowe i zielone, zakończone ściegiem złotéj nitki na czubkach. Szlaczek brzeżny wyszyty złotemi i białemi ściegami na czarnéj aksamitce.

Ładny wzór wyszycia na pokrycie futerału jeśli ten ma być odrobiony na kanwie „Filoche“ przedstawia N. 28, na którym oznaczone są dokładnie ściegi krzyżowane zielonéj szneli i grubego żółtego kordonku. N. 27 podaje otwarty futerał, w podszewce którego przestembnowane są przedziały na druty, a w drugiéj połowie odznaczone trzy kieszonki na igły do cerowania i bawełnę. Klapki od kieszonek odziergane czarnym jedwabiem, zapinają się na guziki. Cztery końce wstążki służą do związywania futerału.



N. 15. Okrąg z irlandzkiéj koronki jako denko do czepeczków, pokrycie na poduszeczkę lub na kokardę do kołnierzyka. Zobacz ryc. 16.



N. 22. Szlaczek na haft perełkami.

oczek i przybierają na końcach dla nadania listkom podłużnéj formy. Przy końcu czwartego liścia zaczyna się spojenia, odrobione z podłużnych pikotów. Początek * 7 o pow. następuje 1 o. łań. w 5-te. z oczek listka, 3 o. pow., 1 śc. w szóste pow. jako 1szy pikot. Odrobić: 5 o. pow., 1 śc. w brzeg listka, 5 o. pow. 1 śc. w drugie pow. co stanowi 2 pikot. Potem na trzeci najdłuższy p i k o t robić 7 o. pow. 1 śc. za brzeg listka 6 pow. i 1 o. w drugie powietrzne.

Środek stanowi gwiazda z trzech pikotów, każdy po 7 pow. oczek. Druga strona pikotów odrabia się tak, jak i pierwsza, a robiąc p. zaczepia się za następny ścisły listek. Po ostatnim p. następuje 6 o. pow. w łańcuszek pozostały i 1 śc. w czubek dolny listka. Zacząć daléj od *.



N. 17. Kokarda do kołnierzyka. Koronka irlandzka czarna.



N. 14. Czapeczka męzka. Haft na suknie lub aksamicie (Deseń rycina 20 w N. 1 1872 r.)



N. 16. Kokarda do kołnierzyka z koronki irlandzkiéj N. 15.

N. 29. Wyszycie na kanwie jako tło na pantofle.

Ścieg ten bardzo jest łatwy i da się odrobić podług zaczętego wzoru, bez żadnego szczegółowego opisu. Wyszycie to składa się z pasów podłużnych haftowanych skośnemi ściegami, angielską włóczką w odmiennych kolorach lub też do cieniu. Desenik wyszyty na ciemnych paskach, odznaczony jest żółtym maisowym jedwabiem.

N. 30. Szlaczek szydełkowy.

Z szaréj kręconéj bawełny, odrobiony szlak szydełkowy, służyć może na podwiązki. Robi się naprzemian 2 o. śc. i 2 o. pow. zakończenie z obu stron stanowi 1 rząd ścisły i drugi z pikotami. Na pikot potrzeba 5 o. pow. złączonych 1 śc. w pierwsze z o. powietrznych. Na podłożenie służy kolorowa wełniana plecionka lub też taśma gumelastyczna.

N. 31 — 32. Dwie gwiazdki.

Robota szydełkowa i frywolitowa.

Obie te gwiazdy mogą być odrobione z czarnego jedwabiu do przybrania kaftaników, sukni itp. w miejsce pasmanterji lub też z białéj bawełny do serwetek, kap i t. d.

N. 31. Rozeta szydełkowa.

Cztery ścisłe listki odrabia się naprzód osobno, a następnie łączy spojeniami. Na każdy pojedynczy listek zaczyna się 12 o. pow. spaja wkółko i obrabia 6 o. śc. 1 pow. 6 śc. i znów 1 pow. oczkiem.

Następne obrobienia zajmują się za obie połowy

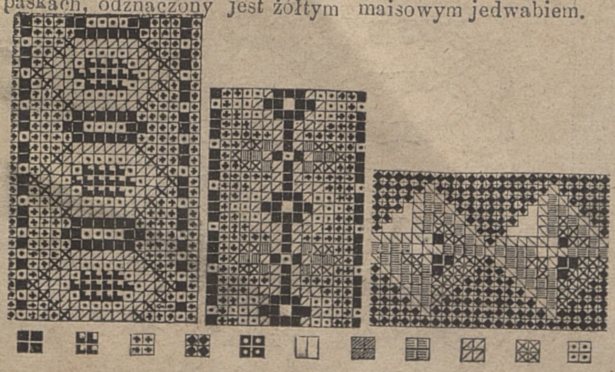
N. 32. Gwiazdka frywolitowa.

Dokładność rysunku nie wymaga szczegółowego opisu, tymbardziéj że ilość pod. węz. zależy od grubości użytéj bawełny. Środek odrabia się jedną nitką i spaja gwiazdką o 4 listkach. Przy dalszéj robocie potrzeba dołączyć i pomocniczą nitkę.

N. 33. Kwadrat szydełkowy,

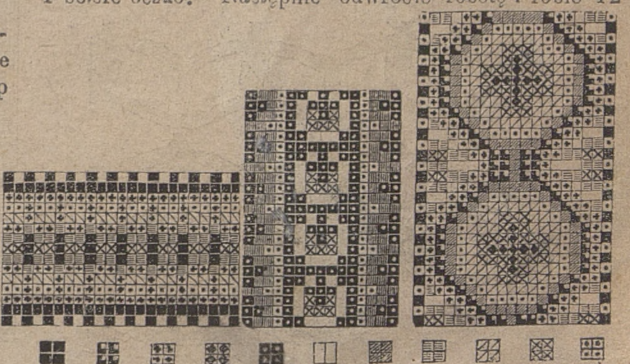
na kapy i kołdry.

Kwadrat ten składa się z dwóch trójkątów, odrobionych tam i napowrót i spojonych z sobą w pośrodku. Trójkąty zaczyna się od 17 pow. o. spojonych w kółko, za które zajmuje się: 1 o. śc., 1 pół sł., 7 sł., 1 pół sł., 1 ścisłe oczko. Następnie odwrócić robotę i robić 12



czar- ciem. niebie- rubi- fijol- kre- popie- krysz- mle- stalo- złoty
ny, brąz. ski, nowy, kowy dowy, laty, tałow. czny, wy,

N. 19—21. Trzy szlaczki perełkowe. Do ozdoby różnych robótek.



czar- ciem. niebie- rubi- fijol- kre- popie- krysz- mle- stalo- złoty
ny, brąz. ski, nowy, kowy, dowy, laty, tał. czny, wy,

N. 23—25. Trzy szlaczki na haft perełkami. Do ozdoby różnych robótek.

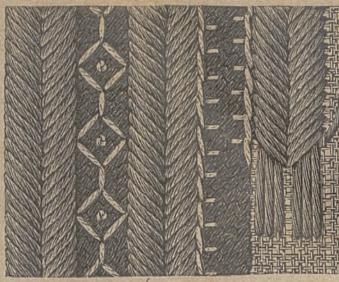
o. pow. 1 śc. w środkowy słupek ząbka, 12 o. pow. i 1 śc. przy początku poprzedniego ząbka. Nitkę roboczą przeprowadza się przez 5 o. łań. w górę, a ząbki obrabia jak i pierwszy. Przy każdem nowem obrobieniu przybywa 1 ząbek, cały trójkąt liczy 5 ząbków. Po odrobieniu i drugiéj połowy spaja się ząbki, obrabiając ostatni raz słupkami; spojenie wskazuje rycina. Kwadrat obrabia się w koło o. śc. jakby dziergając; dwa rzędy ząbków wskazuje wzór N. 33. na którym łatwo zliczyć liczbę słupków i oczek.



N. 28. Tło na kanwie „Filoche".



N. 26. Futerał do drutów (zamknięty) i do igieł od cerowania. Patrz N. 27.



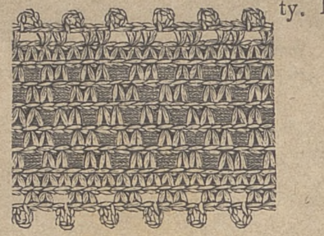
N. 29. Ścieg na kanwie do pantofli.



N. 27. Futerał do drutów i igieł do cerowania. Otwarty. Patrz N. 26.

N. 34. Szydełkowy deseń.

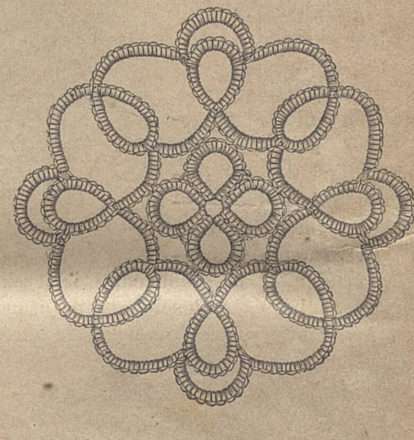
Odrobiony deseń z kolorowéj angielskiéj włóczki służyć może na chustki, szaliki, kapturki i t. p. Odrobiony z białéj bawełny może być użyty na kapy, serwetki, lub powłoczki na małe poduszeczki.



N. 30. Szlaczek na podwiązki. Robota szydełkowa.



N. 31. Szydełkowa rozeta.



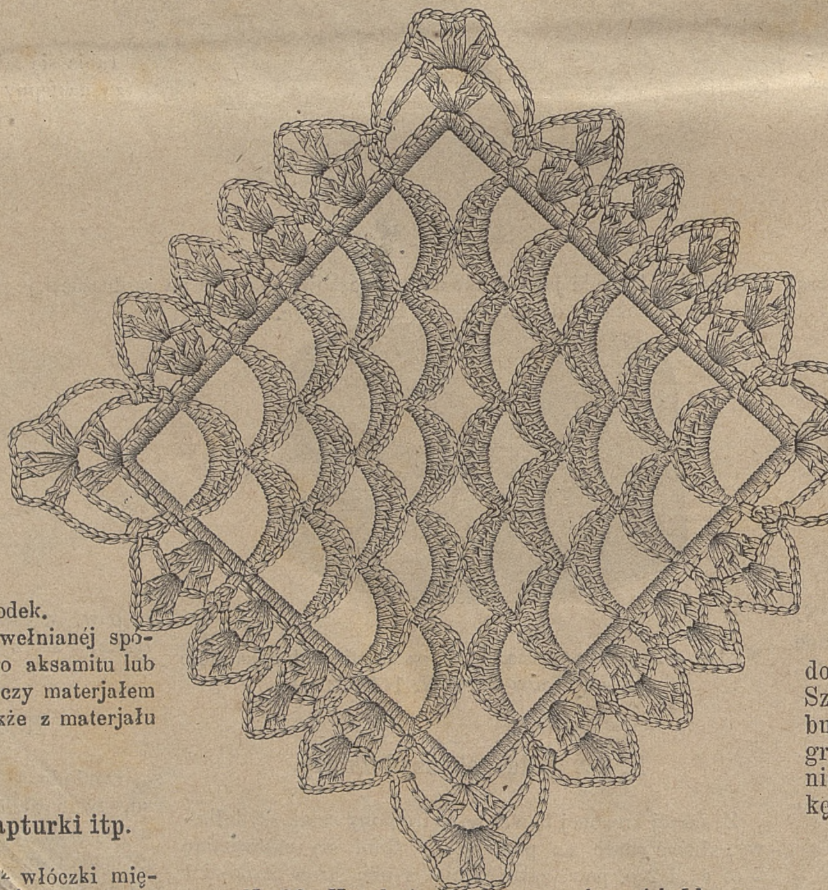
N. 32. Frywolitowa rozeta.

N. 35. Szlak do spódnicy.

Środek stanowi pasek prosty materjału przerabianego w zakładki, przytwierdzony do spódnicy przystembnowanemi z obu brzegów pliskami. Po nad tem pasem dane naszycie z ząbków, leżących dwoma rzędami jedne na drugich, ząbki te również przymocowane są stembnowanemi pliskami. Ładne kwadraty aplikacji, przystrajają środek. Szlak ten może być zastosowany i do wełnianéj spódnicy, wówczas aplikacja jest z czarnego aksamitu lub też zastępują ją guziki pokryte aksamitem czy materjałem sukni. Podwójne ząbki odrobione są także z materjału sukni, lub w ciemniejszym kolorze.

N. 36. Wzór siatki na szaliki, kapturki itp.

Najładniéj przedstawia się ta robota z włóczki mięszanéj z pelą; również wybrać można włóczkę białą, a jedwab kolorowy pąsowy, różowy, niebieski, zielony, lub inny. Pasy brzeżne odrabiają się jak następuje: jeden rząd pierwszy robić na zwykłym wałeczku; drugi rząd podłużnych kręconych oczek odrabia się na linijce, igłą oczka zaś okręca trzy razy przez oczka poprzedzające, potem znów 1 obrobienie na wałeczku. Środek odrabia się jedwabiem kolorowym, do białéj włóczki, a filozelą do jednakowego koloru, ściegiem znanym pod nazwą „różanego."

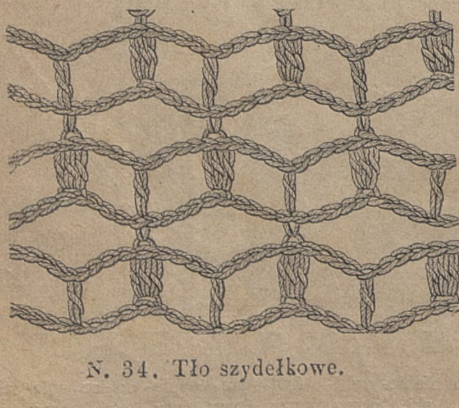


N. 33. Kwadrat szydełkowy na kapy i kołdry.

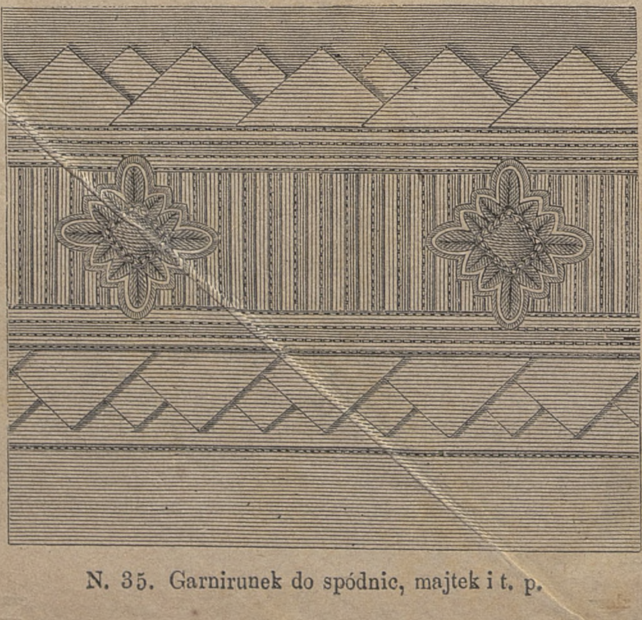
Korespondencja.

Pani M. w Li.....e. Aby dokładną udzielić wiadomość o wartości i użyteczności maszyn do szycia, zasięgnęliśmy opinji osób posiadających podobne maszyny różnych systematów, ale zdania ich tak są sprzeczne że żadnego z nich pewnego wniosku wyprowadzić nie można. Każda bowiem posiadaną maszynę, czy Willera i Wilsona, czy Backera i Growera, czy wreszcie Howego, kładzie wyżéj nad inne i ją uważa stanowczo za najlepszą pomiędzy wszystkiemi. Jest to dowodem że każda rzeczywiście jest dobra i praktyczna, że każda posiada przymioty godne uznania, i że trzebaby oddzielne i długie studja przeprowadzić, aby dojść w czem różnią się pomiędzy sobą i jakiemi k t ó r a przymiotami przewyższa inne, lub wadami mniejszéj jest od nich wartości.

Co do maszyny The little Wanzer amerykańskiego fabrykanta Wanzer, sprzedawanéj przez L. Knolla w Warszawie przy ulicy Czystéj N. 6, to jest ona ręczną i razem pedałową. W pierwszym razie na miejscu kosztuje rs. 35 ze stołem do poruszania nogą urządzonym, od rs. 45 do rs. 55. Szyje ona równie dobrze jak inne podwójną stembnówką i przy próbie bez zmiany igły i nici, szyła grube płótno podwójnie i poczwórnie złożone, późniéj gruby kort tak samo składany, muślin, deseczkę od pudełka cygarowego, wreszcie papier delikatny jedwabny bez przedzierania lub widocznego oporu.



N. 34. Tło szydełkowe.



N. 35. Garnirunek do spódnic, majtek i t. p.



N. 36. Siatka na szaliki i kapturki.